PAMIĄTKI

Z ŻYCIA I CZYNÓW

Ś. P.

TEOFILA JULJANA NARTOWSKIEGO

NOTARJUSZA

WŁAŚCICIELA DÓBR RÓŻANKA.

PAMIĄTKI

Z ŻYCIA I CZYNÓW

Ś. P.

TEOFILA JULJANA NARTOWSKIEGO

NOTARJUSZA
WŁAŚCICIELA DÓBR RÓŻANKA.

W KRAKOWIE — 1922.

. . . . . . Nie dla senzacji!

Dla oczyszczenia z zarzutu „niespokojnego ducha“, niechaj przemówią te pamiątki z życia i czynów ś. p. Teofila a oświetlą „dobrodzieja“ rodziny.

Dr Mieczysław Narłowski

W Krakowie, dnia 20 grudnia 1922.



Siedziałem w pierwszej ławce szkoły ludowej, gdy do sali wszedł dyrektor Zacharjasz i kazał mi iść do domu. Służący, który po mnie przyszedł, naglił do pośpiechu. Dziś jeszcze - a lat temu 46 - pamiętam jak z płaczem wyszedłem z klasy.

Mój drogi ojciec był . . . umierającym.

Kazał mnie do siebie przyprowadzić. Obok łóżka klęczała matka, siostry i brat mój najstarszy Antoś, który pociągnął mnie za rękę ku ojcu. Wszyscy mieli łzy w oczach. Ojciec serdecznie ucałował mnie, przytulił do siebie, przeżegnał, długo patrzył na mnie, wreszcie te tak na całe życie moje nieomylne wyrzekł słowa: „Tyś najbiedniejszy, . . . zabiorą Ci wszystko . . . Bóg Cię jednak nie opuści, . . . duch mój czuwać będzie nad Tobą".

Trzeciego dnia potem, 9 czerwca 1876., odbył się pogrzeb ś. p. mojego ojca. Zwłoki złożono w grobowcu na cmętarzu w Jaśle*), obok grobu sióstr.

Prorocze słowa ś. p. ojca, . . . spełniły się.

Matka moja Leokadja z Reklewskich, była wtenczas właścicielką dóbr Kowalowy ad Jasło i realności, położonej przy ul. Kaźmierza Wielkiego w Jaśle. Z rodzeństwa żyli wtedy bracia Antoni i Teofil, siostry: Marja, Czesława, Aniela i Stanisława.

---

*). W roku 1916 przewiozłem je wraz z zwłokami brata ś. p. Antoniego, zmarłego 1878 roku do grobowca w Niewodny. Tutaj miał brat Teofil wybudować kaplicę. Słowa nie dotrzymał.

Brat Antoni był adjunktem przy Urzędzie podatkowym w Jaśle, Teofil kończył właśnie studja prawnicze we Lwowie. Testamentem ś. p. ojca opiekunem był wyznaczonym ś. p. Jan Kapella, urzędnik Wydziału krajowego we Lwowie.

Wnet po śmierci ś. p. ojca mojego, najstarsza siostra Marja wyszła za mąż za Henryka Kudelkę (zmarł 31/X 1920), urzędnika podatkowego w Jaśle. Wystąpienie jego przeciw bratu Antosiowi, było powodem ustawicznych nieporozumień między nim a matka, co doprowadziło w rezultacie do opuszczenia mieszkania, jakie zajmował w naszym domu. Brat przeniesiony do Niska, od dziecka wątłej budowy, ciężko zachorował na płuca. Lekarze wysłali go do Szczawnicy.

W czasie wakacji u babci w Różance, brat Teofil jeździł na drzwiach od strychu po stawie. Ja stałem na brzegu, do którego gdy się zbliżył, kazał mi wskoczyć na drzwi. W chwili mojego skoku, odbił nagle drzwi od brzegu. Ja wpadając do stawu, uderzyłem silnie lewem biodrem o krawędź drzwi. Za „figiel" ten, brat klęczał godzinę na grochu, ja mam pamiątkę do dzisiaj. W kilka tygodni potem, wyjechałem z matką do Tarnowa, gdzie leżałem przez kilka miesięcy pod opieką Dra Henryka Kowalskiego w domu pp. Schrötterów.

Dnia 6 lipca 1878przyjechał brat Antoś ze Szczawnicy. Po kilku dniach przewiózł nas Dr Kowalski do Jasła i oddał pod opiekę lekarską Dra Stanisława Cięglewicza, który był odtąd naszym lekarzem domowym, wzywając często na „consilium" Dra Macudzińskiego.

W kilka tygodni po powrocie do Jasła, brat zakończył życie (1878). Spadkiem po nim rozporządził się brat Teofil. Ja dostałem dwie próżne niebieskie flaszeczki z soli karlsbadzkiej.

Był to czas, kiedy brat Teofil ukończył prawo i służbę jednoroczną przy wojsku austryjackiem we Lwowie i wstąpił do

kancelarji notarjalnej Apolinarego Przyłęckiego w Jaśle.

Praktykę notarjalną rozpoczął od steroryzowania matki i rodzeństwa. Dla uzyskania pieniędzy, gwałtownie dążył do sprzedania dóbr Kowalowy, własności i posagu matki. Opierał się temu opiekun Jan Kapella, co dowodzą następujące słowa w jego liście: *„Korczyn 10/7 1879. . . . raczej chociaż z żalem złożyłbym dekret opieki, bo co począłby ten nieszczęśliwy kaleka Mieciu . . . niechaj to inny opiekun uczyni, ja nie . . .“* Niestety! Nadwątlone zdrowie, ciągła utarczka o nasze prawa z nieposłusznym sobie bratem, dążącym i zmuszającym matkę wszelkimi środkami do sprzedarzy Kowalów, spowodowały go do zrzeczenia się opieki. Wtedy przy schorzałej i zdolałej matce został współopiekunem.

Współopiekę rozpoczął brat Teofil „samodzierżawiem“.

Nie pytając o nic matki, zmuszał ją do „ślepego a na Jej dobrą wiarę“ podpisywania przeróżnych przez siebie jako prawnika pisanych podań do władz i Sądu. Zaraz w pierwszych tygodniach swej „władzy“, skłonił dzierżawcę Kowalów do oddawania sobie czynszu pod pozorem użycia go na spłaty drobnych długów hipotecznych i żyda Teitelbauma w Kołaczycach. Matka w najlepszej wierze zgodziła się na to. Nietylko jednak długów nie płaci i procentów, ale nie daje matce nic na utrzymanie domu. Na naleganie matki obojetny, wysuwa wreszcie plan sprzedarzy Kowalów. Niebaczne zdradzenie się matki z zamiarem zachowania Kowalów dla mnie najmłodszego i chorego, wprawiło go w istny szał nienawiści ku mnie, nienawiści, której zarzewiem był testament ś. p. mojego ojca z daty: Różanka 1/VIII 1873., mocą którego zapisywał mi więcej o 3/49 części aniżeli reszcie rodzeństwa, ujmując je Antosiowi, jako będącemu już na stanowisku. Odtąd tak omotywał matkę i tak utrudniał jej położenie materjalne (miała wtedy 30 złr. pensji i 5-ro dzieci), że dla uwol-

nienia się od ustawicznych kłopotów i osiągnięcia spokoju, zgodziła się na sprzedarz Kowalów (1879) Antoniemu Koralewskiemu, wówczas burmistrzowi m. Jasła, za cenę 24000 złr. W dniu spisywania kontraktu leżałem jeszcze chory na nogę i z płaczem prosiłem brata, by zaniechał sprzedarzy*). Wtedy to p. Koralewski dla „uspokojenia“ mnie, dał mi 50 dukatów. Na drngi dzień po podpisaniu kontraktu, wziął Teofil je odemnie do „przechowania“ i nie widziałem ich już więcej**).

Gotówkę otrzymaną z sprzedarzy Kowalów, zabrał zaraz brat Teofil pod pozorem użycia jej na oszalowanie domu w Jaśle i zaspokojenie wierzycieli. Matka otrzymała tylko 4000 złr.

W kilka lat potem dom został oszalowany, rachunków jednak z porobionych wydatków nie chciał matce przedłożyć i nie przedłożył nigdy.

Tak poszły Kowalowy!

Czy jednak matka osiągła upragniony spokój? Nie! Popodła jeszcze w większą zależność od syna. Nie był dla matki synem, nie był dla nas ani bratem-opiekunem, ani przyjacielem. Wyrobił sobie stanowisko „opatrznościowe“, . „czegoś wyższego“ od nas. Krewnych bliższych i dalszych i znajomych tak umiał „zahipnotyzować“ i omamić swoją „opieką“ nad matką i nami, że uważano go za „dobrodzieja i poświęciciela“ się dla rodziny. Jakiż to jednak był opiekun? jaki poświęciciel? Matka się go bała, jedynie w „łaskach“ u niego była siostra Marynia, bo małżonek jej był zawziętym wrogiem matki. Cesię jako tako znosił, Anielcię,

*) W kilka lat potem prrzeszły Kowalowy w ręce żydowskie i uległy z czasem znacznej parcelacji. W czasie wojny światowej 1914 roku, z zniszczonych granatami budynków, pozostała tylko sień, kuchnia i pokój, w którym się urodziłem. W roku 1916 chciałem je odkupić od Ciśli z Brenerów Bergerowej. Nie dopuścił do tego brat Teofil, naówczas notarjusz w Jaśle.

**) zobacz: Dr M. Nartowski. Z minionych lat .... Z dni jasnych i smetnych. Kraków 1923.

Stasię i mnie nienawidził, najordynarniej bił i głodził.

Tak nie w cieple rodzinnem ale pod ciągłą trwogą przed „bratem-opiekunem“ żyliśmy z matką i siostrami, opuszczeni od rodziny, nie chcącej się rzekomo „wtrącać“ w nasze życie i stosónki wewnętrne.

Do świetlejszych chwil należały jedynie wakacje, na które wyjeżdzaliśmy do babci w Różance, bo rok szkolny nie był rokiem nauki ale rokiem „tresury“, nie do pogłębienia naszej wiedzy ale do zamęczania nas i okazywania nam wyższości czy siły nad nami. Jedynem wytchnieniem dla nas były zabawy domowe od przygniatającego nas ciężaru „opieki“ brata, który im w zupełności oddany, bawił się nadto wesoło w miejscowym kasynie, skąd wracał dopiero późnym wieczorem. Wtedy zazwyczaj wyciągał nas zaspanych z łóżek i rozpoczynał z nami swoje lekcje „tresury“, zadawał nam po kilka kartek do nauki, kazał się budzić po ich nauczeniu i kładł się do łóżka.

Siostra Anielcia doszła wtenczas do takiego wydoskonalenia, że zasypiając nad książką, we śnie obracała kartki, udając naukę. A uczył ją francuskiego, którego wcale nigdy nie umiał. Ja go budziłem skoro tylko zaczął chrapać, a chrapał zwykle i strasznie i paskudnie, raz niby że ja już umię lekcję, nie mającą zresztą nic wspólnego z nauką szkolną, to znowu że ją już umie jedna z sióstr. Awanturom z tego wynikłym a trwającym przeważnie do 3-ciej lub 4-tej nad ranem, dopiero matka kres kładła, wypędzając nas do łóżka.

Zbliżały się wakacje 1883 roku. Babcia przysłała po nas konie. Wyjeżdzaliśmy po raz ostatni do drogiej babuni, idąc bowiem raz wieczorem, poślizgnęła się na desce, służącej za chodnik w podworcu i . . . złamała nogę.

Nie długo chorowała.

Dnia 8 sierpnia — zasnęła na . . wieki. Rządy objął brat.

A chociaż jeździliśmy tam jeszcze lat parę, nikt nam babci nie zastąpił i czuliśmy, że obecny „gospodarz“ to nie luba babunia, czuliśmy się mu czemś obcem, ciążącem i przeszkadzającem w jego zamiarach, postępowaniu i obchodzeniu się z nami. Cierpiąc głód, woleliśmy już pozostawać z matką w Jaśle aniżeli pod jego tyrańską opieką. Pamiętam jak nieraz z talerza zrucał nam jedzenie na ziemię, po całych dniach głodził a zamykał w piwnicy szczególniej mnie, dla którego nigdy nie będąc bratem, był już sprawcą mojego kclectwa (str. 8.), a w przyszłości miał się stać mego i mego szczęścia . . . mego syna*) . . . katem!

Po śmierci ś. p. babci, mieszkała w Różance c i o c i a Julja Madejewska, rodzona siostra mojego ś. p. ojca. Otóż „rządy prawem kaduka“ rozpoczął w Różance od gnębienia cioci, odmawiając jej środków do życia do tego stopnia, że w dniu 12/9 1883 a zatem w miesiąc po śmierci swojej matki, zmuszoną była do wniesienia do Sądu obwod. w Tarnowie takie pismo:

> Wysoki ck Sądzie! Przed kilku dniami przedsiębrał na miejscu w Różance przybyły z Frysztaka ck notarjusz polecone mu czynności spadkowe po zmarłej mojej matce śp. Anieli Narłowskiej, lecz że ja od paru tygodni złożona jestem ciężką chorobą, która mnie po dziś trzyma w okropnej nędzy na łożu boleści, nie byłam w stanie udzielić mu jakichkolwiekbądź wyjaśnień, a co więcej nie doszło nawet mojej wiadomości na czem się skończyło jego urzędowanie i czy takowe przyniesie mi jaką ulgę w moim położeniu. Tymczasem mój bratanek Teofil Narłowski gospodaruje po dawnemu na moją i reszty spadkobierców szkodę - albowiem wszelkie dochody słuszne czy nie słuszne jakie nie tylko z spuścizny mej matki, ale nawet z mej własnej po ojcu odziedziczonej części wydobyć może, zagarnia pod siebie tak, jakby on był jedynym właścicielem folwarku Różanka. Pozbawiona wszelkich środków utrzymania, nie mam obecnie z czego żyć, a jeszcze mniej za co moje zdrowie ratować, przyjdzie mi więc przy moim mająteczku w ziemi, albo głodową śmiercią zejść z tego świata, albo zapobiegając temu zbyć takowy Teofilowi za jakąbądź cenę. Takie to są jego niecne zamiary, do urzeczywistnienia których nie przebiera on w żadnych środkach, dość będzie na dowód przytoczyć, że o kwaterkę mleka lub garść zboża długo u niego kołatać muszę. Wszystko trzyma on pod kluczem †) i wszyscy, nawet słudzy

*). Zbrodnia nieukarana. - Antoni Świdowski. Kraków 1921.

†). To samo robił po szeregu lat ze swoją żoną, czego kilkakrotnie byłem

a ci ostatni bezwiednie spełniają jego zamiary. Ponieważ pomieniony ck notarjusz przy odjeździe z Różanki napomknął mi, że wolno jest mi moje życzenia przedłożyć wprost Wysokiemu ck Sądowi, przeto upraszam i błagam ufna w sprawiedliwość,

Wysoki ck Sąd raczy Teofila Nartowskiego odsunąć od administracji majątku po matce ś.p Anieli Nartowskiej pozostałego i poruczyć takową komu trzeciemu w sąsiedztwie z tem poleceniem, aby folwark Różankę wraz z żywym inwentarzem wypuścił w dzierżawę – inaczej jak jeszcze Teofil Nartowski sprzeda woły, co zamierza, to grunta spustoszeją.

Julia Madejewska.

Czyż to pismo nie wywołuje co najmniej oburzenia na postępowanie z własną ciotką? czyż nie jest to wymuszaniem na niej majątku tak, jak to robił później po 10 latach z siostrami i ze mną? A była to kobieta ze wszech miar zacna i przez nas bardzo kochana. Mam jeszcze do dziś jej list do mojej siostry: „*Kochana Stasiuniu! Jak się macie moje rybki, zdrowo? wesoło? co daj Boże! czy odżyłaś już po nudach Różańskich? napisz mi moja kochana co robicie obie z Anielcią, jak się bawicie, kiedy tu przyjedziecie? . . . . Serdeczne tysiączne ucałowania Wam obydwom Kochana Anielciu i Stasiu zasełam, kochająca Was*

ciotka Julia“.



Ten list jej i treść podania do Sądu dowodzą, ile też ta biedna kobieta wycierpiała od brata Teofila. A niczem na to nie zasługiwała, chyba jedynie tem serdecznem przywiązaniem do nas. Nie długo też po wniesieniu podania do Sądu, wyprowadziła się z Różanki do obok niej leżącego Wielopola-Skrzyńskiego, by mieć łatwiejszą pomoc lekarską. Tęsknota za domem rodzin-

świadkiem w lecie 1916 roku.

nym, przykrości od brata, powaliły ją na łoże śmiertelne. Wróciła jeszcze do swego pokoju w Różance, ale . . . po śmierć!

Dnia 9 maja 1884 zasnęła na wieki.

Wyższą „spadkową czy majątkową“ polityką kierowany brat opiekun, nie pozwolił mi jechać na pogrzeb mimo prośb moich i płaczu, za co oberwało mi się porządnie.

Po śmierci cioci został już nikim niekrępowanym, „udzielnym panem na Różance“. Urządzenie domowe, biżuterje i t. p. zagarnął i samowolnie się tem rozporządził tak, jak inwentarzem po śmierci babci, z którego ja literalnie absolutnie nic nie dostałem, coś podobno dał siostrom i to głównie Marji Kudelkowej, co milczeniem swoim dopomagała mu w okradaniu rodzeństwa małoletniego, za co jako wspólniczka moralna, czerpała rożne korzyści natury przeważnie ekonomicznej, jako zapłatę.

W Różance osadził siostrę Czesławę, kazał jej gospodarować i zdawać sobie jak najściślejsze rachunki i to nie tylko z gotówki ale z każdej kwaterki zboża czy mleka.

Kiedy w roku 1886 byłem na wakacjach, tak mnie prześladował i głodził, że 26 sierpnia uciekłem piechotą (cztery mile) do Jasła.

W tym czasie, aby nas pozbawić nawet wakacji, wysprzedał inwentarz martwy i żywy, grunta zaś wydzierżawił miejscowemu gospodarzowi Janowi Borkowi.

Ani z czasu administracji brata Teofila Różanką, ani też z dzierżawy nic nie dostawałem a kiedy dnia 10 listopada 1887 prosiłem go o 1 złr. na wydatki szkolne z mojej części na Różance, to tak mnie pobił z krzykiem za każdem uderzeniem: „oto twoja część“, że leżałem 2 tygodnie chory i leczył mnie Dr St. Cięglewicz. Raz, a byłem już w IV klasie gimnazjalnej, zryłem najniesłuszniej z greki. Kiedy z płaczem usiadłem w ławce, pocz-

ciwy prof. Sękiewicz zdradził brata-opiekuna kiedy powiedział mi wobec całej klasy: „nie płacz, wszak brat twój prosi profesorów by ci dać trójkę, bo wtenczas łatwiej będzie oddać cię do rzemiosła, gdyż nie chce abyś kończył gimnazjum".

Słowa te ocknęły mnie, odkryły mi cel, „dobroć i szlachetność" brata-opiekuna, zobaczyłem że nauka w Jaśle jest daremną. Po wielu przejściach matki z bratem, gdy koledzy powyższe słowa prof. Sękiewicza powtórzyli matce, uległa prośbom moim i sióstr Anielci i Stasi i oddała mnie do gimnazjum w Rzeszowie.

Opieka brata okazała się wnet, bo pozbawiony jej, już na pierwsze półrocze byłem (choć repetent) celującym. Zdobyłem sporo samodzielności w nauce. Były to prawdziwie piękne dnie, kiedy mogłem się uczyć spokojnie, gdy postanowiłem „na złość" skończyć gimnazjum i uniezależnić się od brata-opiekuna.

Postanowiłem pracować wytrwale, naukę wziąłem za punkt honoru i miecz, którym miałem pęta opiekuńskie skruszyć.

Z końcem roku szkolnego dnia 20 czerwca 1886 odbył się ślub mojej siostry Czesławy. Wyszła za mąż za Jakóba Wiśniewskiego. Po ślubie wróciłem do Rzeszowa po świadectwo szkolne, bo opiekun-brat zrobił to z matką, że dalej miałem znowu uczęszczać do gimnazjum w Jaśle. Nie sprzeciwiałem się temu bardzo, bocz już przecież udowodniłem, że bez „patronatu" brata się obejdę. Nie uchroniłem się jednak od niego, był tylko łagodzonym przez brata ciotecznego Józefa Gronieckiego, który zawsze stawał w mojej obronie, bo nie dość na tem, że brat-opiekun od czasu do czasu robił jawną lub tajną „r e w i z j ę" moich rzeczy i zabierał mi je, to jeszcze konfiskował mi książki wypożyczane z bibljoteki gimnazjalnej do lektury szkolnej. Wtedy chodziłem do Józia na „koci zamek" w którym z powodu okazujących się duchów za bezcen mieszkał, przedstawiałem mu sprawę, on przychodził wieczorem niby na szachy, w rzeczywistości

odkradał zabrane książki i oddawał mi. Ale najboleśniejszem bywało oczernianie mnie przy każdej sposobności przed rodziną, z której jedynie wuj Roman Reklewski nie dawał mu wiary. W roku 1887-mym w zimie, mimo zbyt ujemnego przedstawienia mnie przez brata-opiekuna, serdecznie mnie uściskał i zaprosił do siebie na wakacje.

Odtąd jeździłem tam co roku. Ostatnie dnie wakacji były dla mnie smutne, nie tyle że trzeba było wracać do nauki, ile że do nienawidzącego mnie brata, który na każdym kroku zdradzał zazdrość o to, co w rękach jego zarządu posiadałem a zapominał i nie chciał to wiedzieć, że on obok działu majątkowego już otrzymał największy od każdego z rodzeństwa majątek, bo przecież wykształcenie i osiągnięte już stanowisko. Ach! ze wszystkich boleści, jakiemi karmi ziemia swe dzieci, nie ma straszniejszej nad zazdrość . . . Zgryzota to sęp Prometeusza szarpiący rozkrwawione łono, zazdrość to głód co własne zmusza pożerać wnętrzności. Człowiek nią owładnięty, zwiją się w męczarniach niewysłowionych, na które nawet czas nie zawsze może przynieść lekarstwo. W tem cierpieniu mieści się wszystko co najstraszniejszego dręczyć może serce, bo zazdrość nie jest biczem z jednego sznura, ale plecionką z nieskończonej ich liczby złożonej. Uczucie zazdrości budzi nienawiść rychło — tutaj pod jej wpływem nienawiść z dniem każdym . . . potężniała i robiła z brata zamkiętego w sobie tyrana.

Szczęściem że świadectwa przywiezione z gimnazjum w Rzeszowie, wyrobiły mi dobrą opinię u profesorów i uniemożliwiły dalszą na moją niekorzyść interwencję brata.

Ale nadszedł czerwiec 1890 go roku. Z nim egzamin dojrzałości.

Matka wyjechała na kilka dni z Jasła. Skorzystał z tego brat-opiekun i najniespodziewaniej ulotnił się, zostawiając Aniel-

cię i Stasię bez jednego centa na życie a mnie bez centa na koszta egzaminu dojrzałości.

Przy łasce bożej znaleźliśmy sobie radę. Bòg ma cuda w prawicy z piorunami razem, rzuci cudem jak piorunem i pokrzyżuje podłe plany jednostki. Strzeliła mi myśl do głowy! Odniosłem się telegraficznie do szwagra Jakóba Wiśniewskiego w Krakowie. Poczciwy szwagier przysłał mi pieniądze natychmiast (zwróciłem mu je z procentem 6/7 1897.) i 25-go czerwca złożyłem gładziutko egzamin dojrzałośai ku wielkiej radości siòstr a zdziwieniu brata-opiekuna, który po powrocie swoim w kilka dni po tem, nie chciał temu dać wiary. Ale dlaczego nie chciał? Sprawa wyjaśniła się dopiero po kilku tygodniach, kiedy prof Znamirowski przypadkowo się wygadał, że brat jest na niego zagniewanym, że mnie z języka niemieckiego nie spalił, choć go o to . . . prosił! Ach ten mój brat-opiekun, to jednak niezwykły człowiek! Życie jego było ciągłą protestacją przeciwko słowom, słowa zbijały życie. Jakim sposobem nie spostrzegł się nigdy popychając drugich, że sam stał na miejscu, tajemnicą było niezbadaną, jednem z tych zjawisk moralnych, które naturę ludzką . . . niepojętą czynią.

Życie było dla niego rzeczą od myślenia odrębną, samolub w najwyższem tego słowa pojęciu zbierał z całą siłą majątek, wiele groszy rodziny przylgnęło do niego chociaż bardzo wiele łez na nich przyschło. Wielki moralista w ustach i wychowawca w kiju, uparty i zacofany człowiek, zakamieniały, którego mowa a czynności krążyły w dwòch przeciwnych sferach, był mi opiekunem i miał mi nadać kierunek całego życia! I dzisiaj dopiero widzę, jak wczas stanąłem oporem, wyzwoliłem duszę i serce od tego wpływu, który byłby mnie wepchnął w zupełną klęskę materjalną i przedwczesnie w tą zimną mogiłę, którą zawczasu dla nas otwierał. Tego mi do końca życia swego nie mógł nigdy za-

pomnieć, na życie moje nie mógł patrzeć, bo życie to było świadkiem wielu jego nieprawych pociągnień i groziło zdemaskowaniem obłudnej jego duszy, nikczemnego charakteru i zachłanności bezgranicznej.

Matura była zamknięciem pierwszej epoki mojego życia, usunięciem się chociaż częściowem od tych moralnych wpływów braterskich, które nie na wyżyny ducha ale podłości prowadziły, które uczyły kłamstwem podtrzymywać życie i oszustwem jaśnieć.

Musiałem iść przez całe gimnazjum po gorących węglach, jak po trawniku usłanym wężami, patrząc co chwila, aby którego nie nadeptać, nie obudzić. Wyrzec się musiałem wszelkich rozkoszy młodości i dążyć do najważniejszego celu, celu wyzwolenia . . . z opieki brata! Straszne to, dla bardzo chyba wielu niezrozumiane, niepojęte. A jednak prawdziwe!

Brat starszy młodszemu i siostrom był . . . katem!

Od dawna marzyłem o poświęceniu się studjom lekarskim, by jednak podejść wszechwładnego brata, który żadną siłą nawet tutaj nie byłby dał się skłonić do mojego własnego postanowienia, powiedziałem matce i siostrom, że wpiszę się na . . Wydział prawniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, by umieć dojść swych praw i majątku a pomścić dotychczasowych krzywd. Podziałało to jak woda święcona na czarta! Widocznie nie były czyste postępowania jego z naszym majątkiem, skoro nagle spokorniał i jak najuroczyściej przyrzekł mi wobec matki i sióstr, że jeżeli tylko zapiszę się na medycynę, natychmiast upełnoletni mnie i da mi za „całą moją część na Różance tyle, ile zażądam, nadto po skończeniu medycyny 6000 złr. na urządzenie mieszkania lub wyjazd za granicę, gdyby w tym czasie był już notarjuszem".

Na słowa te przypomniałem sobie: *Timeo Danaos et dona ferentes,*

poręczenie jednak matki a później i Józia Gronieckiego przemogły łatwo, bocz główny cel mojego przemówienia, osiągnąłem. Ufając matce a licząc na ten wpływ, jaki miał Józio Groniecki na brata, zdawało mi się, że tym podstępem zdobyłem nie tylko środki na spokojne studja, ale że będę mógł bez troski oddać się wymarzonemu zawodowi.

Niestety! Oszukałem się mocno! Było to tylko podejście do łatwiejszego wywłaszczenia mnie z ojcowizny.

W dniu 25 września 1890 otrzymałem „na razie“ 60 złr. Z tem wyjechałem do Krakowa.

Siostra Marja Kudelkowa przeciw matce, siostrom i mnie trzymała z bratem — wspólniczka moralna, w przyszłości *in spe* (zawiedziona) „dziedziczka“ naszej własności.

Gdy biedna moja matka w grudniu t. roku, łzami naszemi zmuszona, zażądała dotrzymania słowa z września i ostro mu powiedziała, że to postępowanie z nami przechodzi granice przyzwoitości, że wniesie podanie do sądu o odsunięcie go od opieki, że obowiązkiem jego jako brata pomagać siostrom i bratu, a że cały nasz majątek przysiadł i bez jaichkolwiek rachunków z niego, rządzi się nim tak, jak by był jego wyłączną własnością.

Skoro — mówiła matka dalej, zanosząc się od płaczu, — ty otrzymałeś wykształcenie uniwersyteckie i stanowisko, to teraz jeżeli już nie łożyć w całości na wykształcenie brata, to powinieneś mu go przynajmniej ułatwiać, dawać bodaj to, co mu się z jego majątku należy. Wszak pamiętasz ile ci posełałam do Lwowa, nie na prośbę, jak synowi przystoi, ale na każde telegraficzne żądanie, wiesz ile, może nawet z krzywdą rodzeństwa, twoje kosztowały studja na prawach i twoja na mój koszt służba jednoroczna przy wojsku. Jeżeli nie pamiętasz, masz tutaj zestawienie wydatków na ciebie, popatrz na nie i miej choć trochę tego serca dla rodzeństwa, które ja mam dla ciebie, inaczej to

krzywda sióstr i brata, którego zrobiłeś kaleką, łzy moje wreszcie . . . . a ja tego nie chcę.

Z rąk zapłakanej matki nie wziął lecz wyrwał rachunki, podarł je i wrzucił w ogień do pieca a z nami obszedł się tak brutalnie, że chcieliśmy sobie z Anielcią i Stasią odebrać życie, nie mogąc pojąć siły znoszenia dalej jego tyraństwa przy lekceważeniu nawet . . . łez matki!

A gdyśmy płakali z matką, jedynie pies „chodak" szczekał i wył na niego.

Wtedy to siostra Anielcia napisała nawet testament, który dotąd mam u siebie. Nad wyraz przykrą była ta ostatnia z nim wigilja Bożego Narodzenia, nie chciał bowiem nawet tem chlebem bożym z nami się się złamać a na drugi dzień wyjechał.

Biedna matka oba dni świąt przepłakała z nami. Wtedy powiedziałem siostrom, że „na złość" bratu żyć musimy i niecne jego roboty pokrzyżować, skoro stara się tak nieznośnem zrobić nam życie i pozbyć się nas za jakąbądź cenę. Człowiek nie na jęki stworzony. Ufajmy Bogu. Skarga to oręż słabych i oręż słaby, męczy a od niczego nie broni, zostawmy go tylko sobą zajętym samolubom.

Po tych, nie dających się już n i g d y w pamięci zatrzeć dniach, brat który częściej przyjeżdzał do szwagra w Krakowie, na oko się zmienił, zrobił się „c z u l s z y m". Powód wnet się okazał. Chodziło mu tylko o . . . upełnoletnienie mnie. Lecz gdy dnia 30 kwietnia 1892. L. 1469., uzyskał z Sądu obwcdowego w Jaśle odnośny dekret, nakłonił mnie do podpisania zezwolenia na zaciągnięcie pożyczki hipotecznej na Różankę, rzekomo dla uzyskania gotówki na spłacenie mnie.

Było to podejściem, oszustwem. Pieniędzy mi nie dał ale je użył na budowę nowego dworu w Różance. Kiedy mu to w Krakowie dnia 27 listopada 1892 wobec szwagra Wiśniewskiego i

sióstr wymówiłem, jak „najuroczyściej" oświadczył, że dopóki nie złożę rygorozum i nie podpiszę mu sprzedaży „mojej części" na Różance, nie dostanę ani złamanego centa na studja.

Byłto jego dalszy krok do wymuszenia, bo jakże to można żądać składania egzaminu bez opłacenia taksy?!

Plan do wymuszenia dobrze obmyślił, bo na odmówienie mi pomocy przygotował całą rodzinę, przedstawiając mnie jako nieuka i marnotrawcą. Najłatwiej poszło mu z matką i siostrami, którym wstrzymał wypłatę, należną im z dochodów w Różance. Wtedy matka starała się wpłynąć na mnie, bym mu uległ już we wszystkiem i podpisał kontrakt. Trudno! — powiedziałem — gdybym był gęsią, może całowałbym go po rękach, ale padł na orła, orzeł się wzbija w obłoki, bo orła natura w nie niesie. Nie ja mu coś winien, winny skrzydła moje, winny obłoki i wiedza do których rwę się z jego opieki, niewoli! Gdy nie psem ale człowiekiem być pragnę, nie podścielę się pod jego stopy, skrzywdzi mnie i ojcowizny pozbawi, to umrze bez Boga . . . przeklęty!

Że mógł tak postąpić, że mógł „opiekun i brat" mówić: *nie musi kończyć medycyny, może iść do szewca, by choć jeden był z maturą*, winę ponosi cała rodzina, która w rzeczywistość jego tu postępowania nie wglądła, nie starała się przekonać czy słusznie uchodzi za tego „dobrodzieja" czy „brylant", jakim się sprytnie umiał przedstawić. Bo jak w każdej rodzinie jest brylant familijny, u jednych najbogatszy, u drugich najrozumniejszy, u trzecich najwziętszy . . . , tak u nas był najchciwszy. Jak „gwiazda" świecił (!) na całą familję i blaskiem swej „jasności" przykrywał swą podłość w obejściu z matką, siostrami i ze mną. Nikt tego blasku nie badał, nikt nie wglądnął, ufano jak temu kasjerowi, co dopiero przypadek odkrył malwerzacje i źródło jego dochodów. Płakaliśmy, cierpieli, jednak by nie kalać gniazda, milczeli.

W tym czasie został mianowany notarjuszem w Wadowicach.

Zaraz tam się przeniósł z Białej, gdzie był na zastępstwie, bo z Jasła wyjechał, by nie pomagać matce i siostrom i uwolnić się od napierania znajomych, by zmienił sposób postępowania z rodzeństwem. Na kaucję notarjalną dostał pieniądze od przyjaciela naszego domu p. Stanisława Myszkowskiego, na urządzenie kancelarji pożyczyła mu na prośby siostry Anielci, Marja Kudelkowa, którą odtąd nazywał i „najlepszą siostrą".

W styczniu n. r. ciężko zaniemógł.

Leczony był na tyfus przez Dra Opydo. Siostry Anielcia i Stasia przyjechały do Wadowic i zaraz otoczyły go bardzo troskliwą opieką. Przez kilka tygodni ślęcząc na podłodze przy jego łóżku, bo nawet głowy nie miały gdzie położyć, wyczerpały zupełnie swe siły. Wezwany przez nie, zapomniałem o dotychczasowem jego postępowaniu ze mną i pojechałem natychmiast. Nie zgodziłem się na rozpoznanie tyfusu i zaprosiłem do zbadania go i rozstrzygnięcia rozpoznania prof Dra Obalińskiego i prof Dra Pareńskiego. To moje postąpienie zadecydowało o jego życiu.

Prof Pareński potwierdził moje zdanie i wykluczył jakąkolwiek chorobę wewnętrzną. Prof Obaliński rozpoznał zapalenie ropne okostnej na nodze i natychmiast przystąpił do operacji, po której zwolna przyszedł do względnego zdrowia.

I to nawet uratowanie mu życia nie zmieniło go, jego serca nie zmiękczyło ani odrobinki, nie uczuł wdzięczności czy uznania, że przecież w tym Krakowie nie próżnuję, skoro zmieniam rozpoznanie starego lekarza i dźwigam go z łoża boleści, na którem leżał jak biblijny Łazarz wyniszczony a pięciotygodniową już dyetą do skóry i kości wychudzony.

Bez jednego słowa uznania z jego strony odjechałem po dziewięciu dniach, odjechałem do Krakowa, by żyć dalej „własnym przemysłem", z pożyczek w akademickiej „Bratniej Pomocy", u żydów „na index", głównie jednak z fundacji szlacheckiej sty-

pendjum Głowińskiego. Trwało to dość długo. Gdy wrócił zupełnie do zdrowia a ponowione zabiegi matki i sióstr i ich tyle okazanego mu serca w chorobie nie wpłynęły na niego i nie zmieniły wcale jego z nimi postępowania, udałem się do adwokata Dra Koya. Dr Koy po przeprowadzeniu z bratem korespondencji, oświadczył mi, *że brat jest nie tylko bardzo nieuczciwym człowiekiem ale wprost oszustem, bo wszystko co zdziałał, użył do tego matki jako głównej opiekunki, podsuwał jej do podpisywania niezrozumiałe dla niej kawałki sądowe tak, że z aktów sądowych wynika, nie brat ale matka mnie okradła. Wskutek tego należy skarżyć matkę a matka dopiero brata o popełnione oszustwa.*

Najwięcej oburzenia wywołały u Dra Koya słowa brata w liście do niego z daty: Wadowice 15/3. 1893.: — *Milczenie jest złotem według podania mędrców i ja tego nadal trzymać się będę. Pozostawiam bratu zupełną swobodę wolnego działania a na dalsze listy odpowiadać nie będę.*

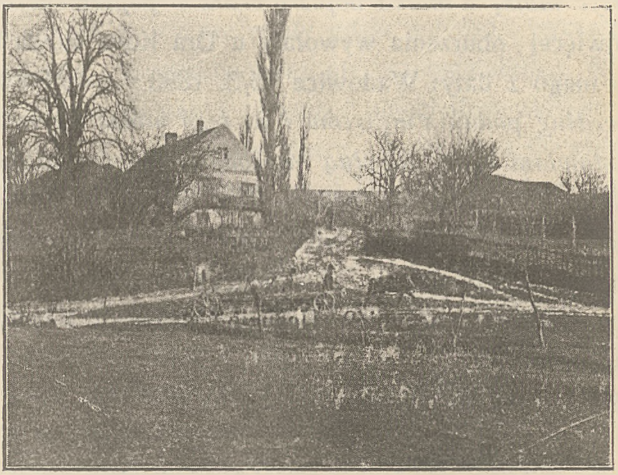
Miałem teraz stanowczo więc zadecydować i upoważnić Dra Koya do wytoczenia skargi . . . . matce!

Czy mogłem to uczynić? Uczucie synowskie i wstyd przed publiczną rozprawą, . . . zwyciężyły!

Pełnomocnictwo cofnąłem.

Kiedy w kilka miesięcy później dowiedziałem się o dalszem okrutnem postępowaniu brata z matką i siostrami za to, że starały się ustawicznie zmienić postępowanie brata ze mną, kiedy zobaczyłem na wakacjach 1893 roku w Różance niedolę matki i sióstr, postanowiłem raz wreszcie położyć temu koniec i podpisać kontrakt, zwłaszcza po przedstawieniach Józia Gronieckiego, który poręczał mi „honorowo“ postąpienie brata, gdy na wszystkie podane przez niego punkta się zgodzę i kontrakt podpiszę. I podczas gdy obcy dawali mi gotówką i zaraz kwotę 10.000 złr., by

uniknąć na przyszłość urazy do siebie, zaufałem raz jeszcze Józiowi Gronieckiemu, głównie dlatego, że mi powiedział: Rozmawiałem kilkakrotnie w sprawie tej z Juljanem i napierałem na niego, by sprawiedliwie i nawet tylko na podstawie sądu polubownego załatwił z wami sprawy majątkowe, jest jednak bardzo u p a r t y m a na punkcie okazania wam testamentów i rachunków z administracji Różanką t a k zawzięcie przeciwnym, że lepiej tego nie tykać i sprzedać za tyle, co sam daje, bo przynajmniej nie będzie wstydu dla rodziny z procesowania się z bratem. Zresztą, - mówił - podana w kontrakcie kwota 1640 złr jest



w zupełności „fikcyjną“ i podaną jedynie dla umniejszenia opłaty rządowej. Skoro jednak zobaczy tylko ustępliwość i zaufanie mu, da grubo więcej, bo na to dał mi „słowo honoru“.

Po rozmowie tej, chociaż brat dotychczasowem swojem postępowaniem nie zasługiwał wcale na wiarę, podpisałem kontrakt we Frysztaku dnia 24 września 1893 roku bez zobaczenia testamentu i aktów sądowych.

Czy stało się jednak tak, jak mi to przedstawiał Józio Gro-

niecki? Nie! Po podpisaniu kontraktu na podstawie zaufania aż dwom braciom, jednemu „na wiarę“ za poręczeniem drugiego „na honor“, w kilkanaście dni potem dostałem od brata list polecony a w nim 460 złr gotówką, obligację Banku krajowego bez kuponów bieżących na 100 złr (kurs jej wynosił 97 złr) i „wyjaśnienie“, że „część moją na Różance“ kupuje za 3500 złr na co załącza gotówką (kłamstwo!) 560 złr a 1300 złr zatrzymuje jako swoją własność (!?!), powstałą z poszczególnych kwot, jakie pożyczał i kredytował mojej [a więc i swojej] . . . matce; resztę tj. 1640 złr spłaci w ratach miesięcznych po 50 złr począwszy od dnia 1 listopada 1893 roku (a 0/0?).

Ładnie wyszedłem na zaufaniu, na wierze, na honorze . . . braterskim!!

Moją „częścią na Różance“ płacił dług matki u siebie, dług składający się z takich kwot jak $^1/_2$ ct. za przekaz a 5 ct. za markę pocztową na liście do . . . matki, 1 złr., 50 ct. i t. p. i kwot przysyłanych mi nieregularnie od października 1890 roku do 28 listopada 1892 roku do Krakowa nie „z spłaty“ ale z bieżących dochodów z Różanki.

Bezwstydnie zagarnął dochody z Różanki za lat dziesięć bo od śmierci babci w dniu 8 sierpnia 1883 roku, należytośc moją za konie i pszczoły darowane mi przez babcię, pieniądze za inwentarz i spadek po cioci (zobacz str. 13) ś. p. Julji Madejewskiej. Za „część“ moją, - jak sobie obliczył - aż 422/2352-gą miałem „łaskawie“ otrzymać . . . 1640 złr.!

Tymczasem jak się dowiedziałem po wielu latach, bo dopiero dnia 10 listopada 1919 roku wpadł w moje ręce dokument uchwalony w Radzie ck Sądu obwodowego w Tarnowie dnia 7 sierpnia 1884 roku L.11356., mocą którego **nie** brat Teofil **ale ja** i siostry Czesława, Aniela i Stanisława **są właścicielami Różanki.** Odnośne słowa dokumentu tego pod L. 4). brzmią: *Gdy*

zmarła pozostawiła ostatniej woli rozporządzenie z daty Różanka 2-go kwietnia 1878 w którym ustanawia dziedzicami córkę Julją Madejewską, obecnie zmarłą 30 maja br. do 1/4 majątku, zaś wnuków z Józefa i Leokadji Nartowskich to jest: dzieci Leokadji Nartowskiej w Jaśle, jako to: mał. Czesławę Nartowską, Anielę Nartowską, Stanisławę Nartowską i Mieczysława Nartowskiego dziedzicami w 3/4 majątku co jest tedy testametem — wprowadzamy postępowanie spadkowe testamentowne.

A ponieważ siostry zmarły: Aniela 5/12 1895., Stanisława 6/8 1896 a zmarła 3/10 1907 Czesława zam. Wiśniewska pozostawiła dzieci Marję, Józefa, Stanisława*) i Romualda, one przeto i ja powinniśmy wejść w posiadanie Różanki a nie Teofil Nartowski, który prawnie nie mógł nas z jakichś tam „części spłacać", ale chyba całe dobra od nas i za przez nas ustanowioną kwotę kupić, potrącając z niej tyle, ile by mu Sąd jako spadkobiercy po siostrach przyznał, nie wiele, bocz główna spadkobierczyni matka, żyła jeszcze.

Pominąwszy jednak nawet ten „dokument", tak jasno tłomaczący upór brata w okazaniu nam aktów spadkowych, mówiących o prawych właścicielach dóbr Różanka (przechrzczonych później przez brata na „N a r t y"), to i tak jeszcze nawet przyjaciele brata nie powiedzą, że w dniu 24/9 1893 Różanka przedstawiała taką wartość, że „część" moja z dochodami za 10 lat i procentami od nich i należytościami za inwentarz i t. p. mogła wynosić tyle, co mi „łaskawie" dawał.

I muszą bezstronni sedziowie orzeknąć, że to postępowanie brata w nabyciu Różanki było **wymuszeniem** przez wyzyskanie przez niego zrobionego nam trudnego położenia i „kupienie" za

*) Stanisław Wiśniewski dał mi 22 listopada 1922 od Marji Kudelkowej otrzymane a przez brata 6. X. 1897 zrobione zestawienie należytości rodzeństwu. Zestawienie to choć jest tendencyjnie zagmatwane i na nieprawdziwych liczbach oparte, stanowi wprost jaskrawy dowód oszustwa.

nasze dochody bieżące naszego majątku na bezprocentowe raty. Nie było sprawiedliwem aby kwotę 12.000 złr przyjętą w sierpniu 1883 roku jako wartość Różanki dla opłaty spadkowej utrzymać i po 10 latach za podstawę do „spłaty“ rodzeństwa przyjąć, zamilczeć ładny żywy i martwy inwentarz, podjęte pieniądze za prawo propinacyjne i za legaty mnie testowane a z 10 letnich dochodów w czasie mojej małoletności literalnie nic nie dać ani rachunków z administracji nie przedłożyć.

A także i dlatego przy „spłacie“ w roku 1893 nie mogła w żadnym razie decydować kwota 12.000 złr., przyjęta nie do podziału ale do opłaty spadkowej w roku 1883., bocz przecież do roku 1893-go był brat prawnie tylko administratorem majątku małoletnich, obowiązanym prawnie i moralnie do prowadzenia i do składania rachunków.

A przecież kto prowadzi księgi administracyjno-rachunkowe własnego a tem więcej małoletniego rodzeństwa majątku jasno i uczciwie, nie chowa ich w zamknięciu pod dziesiątym kluczem, nie wstydzi się ich i trzyma je otwarte, bo wgląd w nie obcych i interesowanych, jest mu największą i najpiękniejszą bo moralną zapłatą za jego uczciwość.

A brat nigdy i żadnemu z rodzeństwa uparcie nie chciał tych ksiąg . . . . uczciwości swojej okazać, czy z poszczególnymi ich pozycjami się zdradzić!

Słuszne i prawne tu moje żądanie, przez lat dwadzieścia i dziewięć ponawiane, stanowiło jedyną i wyłączną kość niezgody między nami! Wszystko inne było tylko tego mojego żądania następstwem, wynikiem jego zemsty za nie i na mnie i na matce i na siostrach moich a w końcu po latach, . . . i na dzieciach moich! O tem wiedzieli wszyscy w rodzinie, wiedziała później i żona brata, bo kilkakrotnie o tem jej mówiłem. Dlatego fałszem są jej słowa z dnia 19/3 1922 do Dra Himmelblaua w liście że „ugo-

dzili się" (-żadnej nigdy ugody z bratem nie było ani ze mną, ani z matką, ani z siostrami, ani z szwagrem Wiśniewskim-), fałszem zeznanie w Jaśle 20/7 1921 przed delegatem Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie majorem Grabowieckim, że „gdy ziemia następnie poszła w górę, miał ciągle pretensje do mego męża i robił mu ciągle wyrzuty z tego powodu", fałszem zeznanie że w czasie od 11 do 14 stycznia 1920 pociągi z Jasła do Krakowa „z nie pamiętnych mi powodów" nie kursowały, fałszem i słowa jej listu z dnia 11/10 1921 r., do płk Harasymowicza jakobym „jej syna do siebie ściągał".

Nie o ilość pieniędzy ale chodziło o uczciwe obliczenie ich wysokości!

Na ilości posiadanych pieniędzy nigdy mi nie zależało i do nich nigdy nie przywiązywałem tej wagi, którą im dają ci, co nie znają największego majątku: uczciwego załatwiania interesów cudzych i własnych, pracą i uczciwością a nie majątkiem iść przez życie. Majątek, bogactwo jest dzisiaj, jutro go nie ma, obchodzić się z nim trzeba jak ze smaczną potrawą, której lepiej nie kosztować, by nie wpaść w nałóg.

„Kupując" wekslami pojedyncze „części" od rodzeństwa, powinien ich wolą czy ugodą a nie swoją łaską się kierować, powinien przedłożyć rachunki z administracji, majątek w dniu kupna kazać oszacować a płacąc najwyższą cenę -*practium affectionis*- z ofiarowanych przez obcych kupujących, rozdzielić ją według dekretu dziedzictwa i kontrakt sporządzić.

Tego jednak brat nie zrobił tak, jak n i e oddał mi moich dukatów (str. 10), ani należytości po ś. p. bracie Antonim (pismo ck Sądu powiatowego w Nisku z dnia 30/8 1892 L. 7054), ani nie przedłożył testamentów, ani rachunków, ani aktów spadkowych, ani wyjaśnienia dokumentu, podanego na str. 26-tej.

Trudno! Chcąc kończyć studja uniwersyteckie, musiałem się

poddać twardej konieczności. Że zubożałem, nic mnie nie kosztowało. Byłem wyzuty z własności ziemi ale byłem bogaty nadzieją ulżenia matce i siostrom.

Za zaufanie dwom braciom zapłaciłem drogo. Teofilowi napisałem: Pamiętaj bracie że wskazówka zegara choć niewidzialnym, to jednak niepowstrzymanym posuwa się biegiem, który za kilkanaście lat odbierze ci majątek jako dzisiejszemu właścicielowi tak, jak je odebrał wszystkim innym. A na te kilka lat posiadania, nie godzi się podstępnie, z wyzyskiem i wymuszeniem, z krzywdą rodzeństwa, do niego przychodzić, by jaśnieć tytułem „dziedzica" czy „właściciela dóbr". Krzywda każda, może chwilowo ukryta przed ludźmi, jest straszną w obliczu Boga, nieprzebaczalną krzywda sierot! Jak ty nie uszanowałeś woli ojcowskiej, tak świat nie uszanuje twojej, jak żyjesz bez Boga, bo obojętne ci są cierpienie i łzy matki i sióstr, tak umrzesz bez . . . Boga! A czy ci Go zastąpi nie lubiąca nas i matki tak ukochana twoja siostra Marynia? Nie! Za to ci ręczę. Gdy straci nadzieję korzyści, odsunie się nawet -gdybyś je kiedy miał- od twoich dzieci!

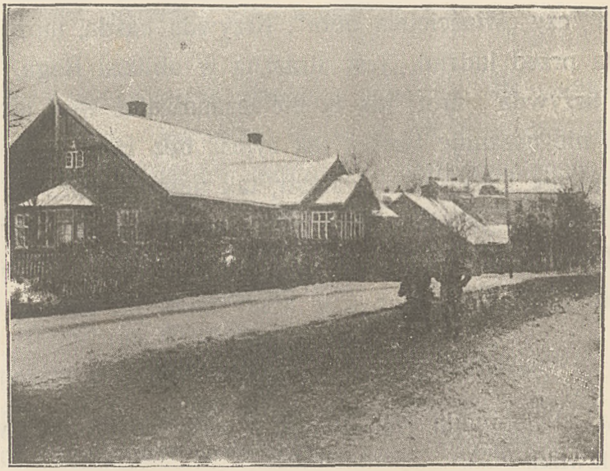
Dnia 23 listopada 1893 umarł w Czarnym-Potoku wuj Hipolit Reklewski.

Gdy z rodziny wdowy opieki nad małoletnimi Wandzią i Jasiem nikt nie chciał przyjąć a kategorycznie wymówił się od niej właśc. dóbr Zbyszyce Władysław Głębocki, na wniosek Józia Gronieckiego przyjął ją brat Teofil.

Jako opiekun puścił się w zaloty do Wandzi. Po uzyskaniu zezwolenia czy dyspenzy papieskiej, dnia 24 sierpnia odbył uroczyste zaręczyny z zamianą pierścionków i nabożeństwem w parafialnym czarno-potockim kościele. Narzeczeństwo to nie trwało długo i dla dobra Wandzi zostało zerwanem (dnia 10/11 1906r.,

wyszła za Jana K. Bieniaszewskiego, właściciela dóbr Wysoka).

Uznanie mojej pracy, dało mi miejsce demonstratora przy katedrze prof Dra A. Gluzińskiego z dniem 1 października 1894. Skromna pensja chociaż, jednak dozwalała mi opuścić maleńki mój pokoiczek przy ul. Kopernika 1. i wynająć obszerniejsze już mieszkanie przy ul. Starowiślnej 21., gdzie zaraz sprowadziła się matka z siostrami, bo brat-opiekun po wyłudzeniu od nas ziemi, zabrał się do realności matki i naszej w Jaśle, którą jako miejs-



ce ciężkich wprawdzie prób ale drogich z dzieciństwa wspomnień, kochaliśmy, witali zawsze niemal ze łzami, bo każdy jej kątek przypominał nam jakąś chwilę przebytą, choć rzadko miłą, zawsze prawie straszną ale skrystalizowaną już w głowie i sercu w ten drogi brylant, co zwie się pamiątką.

Dnia 27/9 1894 roku, niby kupił od matki jej połowę domu za kwotę 3000 złr. (!), z której zaraz odciągnął znaczniejszą sumę, zebraną z pojedynczych kwot, dawanych przygodnie matce

na . . . swoje własne utrzymanie, czyli skwitował! Na nic się już zdały płacz i rozpacz matki, na nic wszelkie przedstawienia, że to niesłychane oszustwo! Za to że u matki mieszkał i jadł, zabrał połowę realności. Śmiać się czy płakać?

Risum teneatis, amici? Illotis manibus załatwiał wszelkie rodzeństwa sprawy. Na bezkarności tutaj, oparł dewizę swego życia: *kupić, nie kupić, potargować można!*

Gdy mieszkanie zajmowane przez matkę wynajął swojemu przyjacielowi sędziemu Drowi Wł. Kruczkowskiemu, zrozpaczona matka zagroziła mu sądem. A choć wiedział że tego matczyne serce nie potrafi, zląkł się. *Fatetur facinus, qui iudicium fugat.* Siostrom przyrzekł kupić całe nowe urządzenie mieszkania, matce dodawać kwotę potrzebną na utrzymanie domu w Krakowie. Był to znowu tylko podstęp do łatwego usunięcia matki i sióstr z mieszkania, bo po przyjeździe matki i sióstr do wynajętego przezemnie mieszkania, wszelkich obietnic się wyparł. Wtedy to powiedziałem mu tą wieczystą prawdę:

„Clamitat ad coelum vox sanquinis et Sodomorum
Vox oppressorum, viduae, pretium famulorum.

Twoje postępowanie woła o pomstę do nieba! Śmiejesz się z tego? Śmiej się ale jak nie widziałem cię nigdy przy pacierzu, tak ujrzę na tobie karę bożą, jak ty dziś nie znasz nawet Boga nad sobą, tak Bóg odwróci się od ciebie, choćby dopiero aż w ostatniej sekundzie twojego życia! Choć dzisiaj witasz nas bez pociechy, odjeżdzasz bez żalu, za to że szukasz dziś tylko swojej korzyści, nadejdzie chwila że i siostra Kudelkowa nic ci nie pomoże, gdyż dojdzie zdrętwienie nawet do twego twardego serca, gdy ręce okryje pot zimny, oczy zasłoni sieć czarna, język skołowacieje w ustach! I nie da ci zagniewany Bóg czasu do wynagrodzenia krzywd, będziesz chciał krzyczeć, lecz braknie ci głosu! będziesz chciał odetchnąć, zabraknie powietrza! poruszysz się mo-

że? żelazne ścisną cię pęta! I poleci z naszej ojcowizny bez Boga dusza twoja przed Sąd, niosąc nie twój żywot poczciwy ale . . . tylko suche łupiny . . ."

Wstał szybko i bez słowa pożegnania wyszedł i odjechał. O zimne jego serce, samolubstwo, chciwość i więcej jak obojętność dla matki, sióstr i mnie, każde przemówienie było jakby gotowaniem obiadu w lodowni, na lodzie!

Skromną mą pensją miesięczną (25 złr.) wspierałem matkę i siostry i żyliśmy choć czasem głodno, to przecież miło bo zgodno dotąd, dopóki nie zmuszony byłem wyprowadzić się do mieszkania w *Collegium medicum* po otrzymaniu 17/5 1895 asystentury przy katedrze prof Dra A. Gluzińskiego i połączonego z nią mieszkania w zakładzie uniwersyteckim. Wtedy matka przeprowadziła się z siostrami do mieszkania przy ul. Podzamcze u stóp „Wawelu".

W tym czasie właśnie siostra Anielcia miała wyjść za mąż za Luwika Gronieckiego, sekretarza Dyrekcji skarbu. Brat bał się go jako prawnika i nienawidził. A był to charakter prawy, uczynny dla każdego, całem sercem oddany rodzeństwu. Dzień ślubu był oznaczony. Siostra zażądała od brata zapłaty weksla, którym „kupił" jej „część na Różance". Odmówił kategorycznie. Weksel wystawiony na 3 miesiące ani prolongowany ani protestowany, stracił wszelką wartość prawną! Trza było iść do sądu! Lecz to *Turpis avis, proprium qui foedat stercore nidum* — przemogło!

Oszustwo to czy podejście, wzięła sobie tak do serca silnie, że zdrowie jej nadwątlone kilkumiesięczną pielęgnacją brata w Wadowicach (str. 22.), zaczęło się szybko pogarszać a wezwany przezemnie prof Dr St. Pareński, polecił natychmiast wyjechać do Szczawnicy. I na to brat był . . . głuchym! List jej do mnie z 13/6 1895 stwierdza to słowami: . . . . . *nic też Ludwikowi nie mów, dosyć się natrapi, to nie trza mu dodawać a*

*moja choroba dosyć go boli. Pogniewał się że nie chciałam jechać do Szczawnicy, lecz trudno mam jechać gdy nie mam ni sukni, ni okrywki, ni butów, trudno jak dziad jechać, by ludzie się naśmiewali z biednej sieroty — żebym choć od Julka (*brata*) dostała parę reńskich na Szczawnicę, to byłabym pojechała - ale on mi nie dał, więc nie! Zasyłamy Ci serdeczne ucałowanie, niech Ci Bóg dopomoże byś najlepiej wszystkie egzamina zrobił, by najblżsi nie urągali. — Aniela.*

I mając własne u brata uwięzione pieniądze, nie chciała nic przyjąć ani odemnie, ani od wuja Wolańskiego, ani od narzeczonego, mimo nalegań matki i siostry Stasi.

Tymczasem choroba niszczyła, zabijała organizm!

Dnia 6-go grudnia 1895 na moich i Stasi rękach zasnęła na wieki! Dusza poniosła skargę sierocą przed Majestat Sprawiedliwego. . . . Boga! Pierwsza ofiara . . . braterskiej opieki!

Testamentem z dnia 23/12 1893 przekazała majątek z Różanki mnie, nieco ze srebra siostrze Marji Kudelkowej, resztę zaś siostrze Stasi i swej córce chrzestnej Marji Wiśniewskiej. Brat tą jej nawet ostatnią wolę . . . unicestwił!

Biedna siostra! Czuła że śmierć jest nieuniknionym końcem tragedji a kochała miłością bez nadzieji, miłością która podobną jest do stepu piaszczystego, gdzie nie ma końca, nie ma rosy, nie ma źródła. W górze słońce co zajść nie może, pod nogami fale piasku i nic więcej! Miłość jej musiała nieosłodzona pozostać w sercu. Biednej sierocie i to cierpienie było szczęściem, bo kochać choćby bez jutra i przyszłości, zawsze jest najwyższem dobrem na ziemi. Tak kochała biedna moja siostra, której życie całe było pragnieniem, bez kropli rosy, bez ochłody . . . która się nic nie spodziewała, tylko cierpień nowych wzrostu i tęsknej śmierci sierocej. I to wszystko przez brata . . . . opiekuna, który na godzinę przed śmiercią przywiózł jej . . . flaszkę wódki zdrowotnej a

siostra Marja Kudelkowa przed samem jej zaśnięciem przybyła z Sanoka, by po kilku płaczliwych spazmach zrobić awanturę i opierać się pochowaniu jej w murowanym grobie i trumnie metalowej, rzekomo dlatego, że nigdy w Krakowie nie będzie mieszkać.

P a m i ę t a j! — rozżalony powiedziałem jej wtedy — za to udawanie przed chwilą żalu a teraz awanturowanie o trumnę i o grób Bóg cię może pokarać i tutaj w Krakowie i mieszkać (to się już sprawdziło) i umrzeć możesz!

Śmierć Anielci była pogłębieniem nienawiści między bratem a Ludwikiem Gronieckim, który wziął sobie jej złoty zegarek na pamiątkę. Łzy matki i siostry nie wzruszyły twardego serca opiekuna-brata, nie wpłynęły na żadną zmianę, zdawał się nie czuć nawet wyrzutów sumienia.

Do nabytej przez szwagra Wiśniewskiego i (pro forma) Ludwika Gronieckiego (znacznie później ożenił się z Wandą Rożankowską, zmarł 9/5 1914 w Krakowie) Olszowej pod Gromnikiem, przesiedlił szwagier żonę z dziećmi, brat matkę z siostrą.

Pobyt tutaj - jakby w klasztorze zamkniętej - siostry Stanisławy, zgryzionej śmiercią Anielci, wywoływał rozpacz, w której dobroć wyryta na twarzy, ponad wszystkie przymioty serca pociągała ku sobie. Przecierpiane boleści zrobiły z niej smutną ruinę, śmierć siostry i obejście brata wypiętnowały swój ślad na twarzy, siła życia jednak pasowała się z rozkładajacym ją ciężarem smutku, z gryzącą boleścią.

Choroba z tych nasion wyrosła, dojadała ją do reszty. Pomimo cierpienia zawsze nadzwyczaj łagodna o tej pełnej dobroci twarzy, która zdawała się pochodzić z usposobień serca i z rozpaczliwego zobojętnienia. Dniami i późno w noc zajęta pracą, myśl jednak jak motyl odlatywała gdzieś i łapać ją musiała na widmach kwiatów siedzącą, gonić za nią dalej a dalej coraz w szersze, zie-

lone pola przeszłości . . . . ani skuć, ani spętać swobodnej latawicy nie mogła!

Brata nie wzruszył jej ból, nie chciał widzieć jej bezsennych nocy i gorących prośb do ś. p. zmarłej siostry, by ją do siebie zabrała. Ile to biedactwo wycierpiało, niech dowodzą listy jej o bracie-opiekunie, bo jako czystą ręką stroskanej siostry pisane, są tą straszliwą skargą jej duszy, która oświetla brata postępowanie ponad wszelką już wątpliwość i potwierdza moje o nim wszystkie zdania. Oto n. p. dnia 12/1 1896 pisze do mnie z Sanoka: . . . *że nie ma na kim się pomścić, bo już nie ma mojej i Twojej Anielci, to dali że na mnie a nikogo to nie zaboli* (mowa tu o siostrze Marji Kudelkowej, u której wtedy była w Sanoku i łudziła się nadzieją jej wpływu na brata a znalazła tylko kamień w jej sercu), *czy tam tak mało znacząca istota złamie się pod brzemieniem swych cierpień. Ale jak bardzo bym pragnęła pozbyć się męczarni życia, bo Bozia widzi jak mi cięży to brzemię, co się życiem zowie. Bóg widzi że nie pragnęłam nigdy litości od ludzi, tylko by mi dali spokój, niech myślą że nie żyję i niech nie dokuczają. Pisz Mietek nic długo, bom bardzo a bardzo nieszczęśliwa i co dnia bardziej opuszczona. Ot było nas troje przez Julka* (brata) *prześladowanych biednych sierot, dziś już tylko dwoje, ja i ty. Ja nie zniosę, ty musisz dla Broni* (moja przyszła żona), *która taka dobra dla mnie. Łączę Ci serdeczne ucałowanie i zostaję zawsze kochającą Cię siostrą — Stanisława.*

A później dnia 23/5 1896 pisze do mnie z Olszowy: . . *Cóż ja nieszczęśliwa poradzę, kiedy ciężko od Juljana* (brata) *procent dostać a co mówić o kapitale. Wszak sam wiesz, coś przechodził o swoje, choć jesteś mężczyzną i prędzej się Ciebie bał a musiałeś aż opieki Sądu wezwać, nie mając z czego żyć Ani mowy by mi oddał . . . . ja oszaleję ale pieniędzy nie wezmę chy-*

ba, bo przecież mu ich nie wydrę przemocą, sam wiesz najlepiej jaki jest stosunek do pieniędzy i Jego. A zachodzi w głowę na co mi pieniędzy, co ja z pieniądzmi robię? Ale on się nie spytał, czy Ty siostro masz chociaż jedną koszulę całą, o! to mu było obojętnem! . . . . . Śmierć okrutna musiała do naszego domu się zakraść, ach czemu Anielcię sobie koniecznie upatrzyła a nie mnie? Biedny Ludwik desperuje bardzo, bo i jego życie złamane a moja bidusia leży w grobie! . . .

Te własnoręczne i autentyczne listy sióstr odsłaniają nagą prawdę z życia i czynów brata Teofila, urągają i ślepocie jego „wielbicieli" i udawadniają „ugodę" z rodzeństwem, oświetlają moją z nim walkę i mogą dać sąd o drodze, którą doszedł do „własności" Różanki. I jakżesz choćby ten list ostatni siostry sobie tłomaczyć inaczej, jak nie straszną jej niedolą po śmierci ukochanej siostry, niemożliwością dalszego życia wobec bezlitościwego postępowania brata, który „wekslem" kupił jej prawa do Różanki, wekslem za który nie widziała nigdy ani gotówki ani od niej procentu.

Takie „przejęcie" majątku rodzeństwa i jeszcze dręczenie go, mogło być ludziom niewiadomem, nigdy Bogu, który im dłużej cychliwy, tem sprawiedliwszy, wobec krzywd sierot — nieprzebłagalny przenigdy!

Ani sąsiedzi, ani władza w to nie wglądły, bo trudno było wyobrazić sobie człowieka opływającego w dostatki i umiejącego na swój sposób używać życia, siedzącego na tak rodzeństwu „wydartej" ojcowiźnie, gdy to rodzeństwo cierpi niedostatek i boryka się z życiem, które z dniem każdym staje się mu cięższem, nie do zniesienia. I to jeszcze pod okiem licznej rodziny, uwielbiającej zamaskowanego „dobrodzieja-opiekuna", w którym tymczasem nie było nic takiego, coby mógł dać matce, mnie, siostrom! Nie chciał nawet domyślać się tego uczucia, co odrobiną

karmić się umie; uczucia, któremu z i a r n k a dosyć gdy głodne, świata mało, gdy się nasycić zechce.

Zdemaskowanie tego „dobrodzieja“ musiało nastąpić, nieco później może jak wypadało, później z trudności zebrania wszystkich dowodów i później dla udowodnienia na jego własnym testamencie pohańbienia własnej żony i pokrzywdzenia własnych też dzieci, skoro usunął się przed sądem honorowym.

Jedynie szwagier Wiśniewski widzi wtedy nasze ciężkie borykanie się z bratem, na własnej skórze przekonany o niemożliwości spokojnego i prawego załatwienia z nim swoich i naszych rachunków, jak może pomaga nam i wpływa na brata ale . . . . bezskutecznie!

Żadne przedstawienia nie mają dla niego znaczenia, zasłoniony „urzędownie“ opieką biednej matki, gra rolę „niewinnego baranka“, śmieje się i powtarza swoje ulubione: kupić, nie kupić, potargować można.

Beati possidentes! Szczęśliwi ci co władają majątkiem czy władzą, przy nich choćby chwilowa prawda i wiara, bo pieniądz jeden a władza druga, mają na większość wpływ osłaniania życia ich i ich czynów choćby najniegodziwszych i najpodlejszych dotąd, dopóki nie nadgniją lub długą walką poniewieranej, oczernianej i wyśmiewanej śmielszej jednostki, nie runą. A i wtedy nawet nie zbrodniarza zdemaskowanego ale jego odkrywcę . . potępiają! Dlaczego? O bo tu na ziemi nie ma sprawiedliwości! Bóg jedynie jest sprawiedliwym!

Dnia 24 czerwca 1896 s p r z e d a ł brat nabytą w Jaśle od matki część realności wraz z częścią moją i sióstr moich (dekret dziedzictwa: ck Sąd obwodowy w Tarnowie z dnia 4/2 1885 r. L. 18672) za cenę 9500 złr adwokatowi Drowi Romanowi Adam-

skiemu w Jaśle, wymuszając na nas zgodę i podpisanie kontraktu. Zaraz potem wezwał mnie na 28 czerwca do Olszowy w celu obrachunku i rozdziału pieniędzy. Tymczasem zamiast uczciwie i spokojnie przedłożyć rachunki i podzielić pieniądze między rodzeństwo a matce oddać jej należytość, przez dwa dni nie poruszył ani słowem tej sprawy. Dopiero trzeciego dnia, gdy już odjeżdżać miałem, wszczął z matką, siostrą i mną awanturę a wśród niej opowiadał o wydatkach poniesionych przez siebie przy sprzedarzy domu. Wreszcie rzucił (!) matce 1.000 złr., rachunków czy rozliczenia żadnego. Mnie skwitował długami rzekomo zaciągnionymi u niego przez matkę.

Tak poszedł dom w Jaśle!

Takie pozbycie domu, musiało się odczuć głęboko. Nie mogliśmy nie pożałować go, jak więzień żałuje swoich kajdan i ciasnego lochu w których lata długie przecierpiał. Wszystkie wspomnienia stanęły przed oczami, powiedziałem bratu że to „skwitowanie" nas stanie mu kiedyś przed sumieniem, bo sierotom Bóg zawsze ojcem choć familją tylko ci, co jak oni biedni. Rodzeństwo to jak palce na jednej dłoni, które tylko razem żyć mogą a „skwitowanie", wyzbycie nas z ostatniej własności, rozdziela nas na zawsze i na sprawcy tego pomścić się musi. Następstwem tego „skwitowania" i awantury zrobionej przez brata, było ciężkie rozchorowanie się siostry Stasi na serce. I nie było już w medycynie lekarstwa, bo dusza jej robiła chorobę i niszczyła ciało a stan taki nie mógł potrwać długo. W dniu 5 sierpnia 1896 roku w obecności siostry Wiśniewskiej i służącej oświadczyła matce, że całą należną jej kwotę u brata mnie przekazuje. Na drugi dzień po tem, dnia 6 sierpnia 1896 roku umarła.

Cierpienia jej policzył Bóg na pewno, cierpienia na które płakało ciało, na których zyskiwała dusza.

Wezwany telegraficznie z Krakowa, zająłem się pogrzebem

i w tym celu wyjechałem do Tarnowa. Kiedy wróciłem z trumną w nocy, zastałem w Olszowej Kudelków z Sanoka już przybyłych, brata i szwagra Wiśniewskiego. Kudelka i brat zamiast się ze mną przywitać, zrobili zaraz ze mną awanturę o marnowanie pieniędzy na trumnę mętalową, choć wiedzieli dobrze, że tylko w takiej a nie innej można było przewieść jej zwłoki do Krakowa i złożyć w grobowcu ś. p. Anielci na cmentarzu rakowickim.

Rano „zacny" brat rozbił siekierą jej kuferek w obecności matki, sióstr i szwagrów Kudelki i Wiśniewskiego, zabierając te weksle, które jej i Anielci dał przed trzema laty za ich „części" na Różance.

Po nabożeństwie żałobnem w kościele parafialnym w Paleśnicy, wyjechałem ze zwłokami s a m do stacji kolejowej w Gromniku. Przed Zakliczynem wyminęli mnie szwagrowie z żonami i bratem, dążac do stacji kolejowej w Słotwinie, by tylko ze mną i zwłokami nie jechać.

Na stacji kolejowej w Gromniku spotkałem p. Myszkowskich, którzy widząc moje zgnębienie i wyczerpanie, niemal przemocą zabrali mnie na parę godzin do siebie do Rzepiennika, położonego obok Gromnika. Tutaj opowiadali mi o jej i matki cierpieniach i przejściach w Olszowej, nie mając słów na wyrażenie potępienia brata i siostry Kudelkowej, która choć mogła skutecznie wpłynąć na brata, milczała choć widziała zbliżającą się drugą katastrofę. Już nad ranem przyjechałem przez Tarnów wagonem towarowym ze zwłokami do Krakowa. Po załatwieniu formalności kolejowych, udałem się do swego mieszkania w *Collegium medicum*. Tutaj siły opuściły mnie zupełnie. Dopiero prof Dr S. Braun, który do mnie około południa z prof Drem Gluzińskim w interesie przyszedł, uspokoili mnie nieco i przyprowadzili do tej równowagi, że mogłem o godzinie 4-tej po południu udać się na pogrzeb, na którym powtórzyły się udawane spasmy żalu siostry

Kudelkowej. Po pogrzebie wróciłem z cmentarza sam; przez kilka tygodni nie byłem zdolny do żadnej pracy, nie mogłem skupić już myśli nawet, nie mogłem pojąć obojętności brata, jego postępowania, aż śmierć sióstr powodującego.

Wyłożonych pieniędzy na koszta pogrzebu mi nie zwrócił, choć majątek ś. p. siostry miał w swoich rękach, rozporządzenie jej ostatniej woli — unicestwił.

Trudno! Żądać serca od niego nie było można. Znał tylko jeden cel życia, cel zdobycia majątku, choćby po trupach rodzeństwa. Nie chciał wiedzieć, że nie w groszu i bogactwie ale w samym człowieku jest szczęście jego lub nieszczęście przyszłe. Jako samolub na boki nie patrzał. A że wszystko co tylko złego ma świat, z samolubstwa pochodzi, ono rozłączało nas na zawsze, rozbijało i targało te węzły najsilniejsze, jakiemi są dla ludzi prawych — węzły rodzeńskie!

W czerwcu 1897 wezwał mnie brat do Olszowej . . w celu obrachunku spadku po ś. p. siostrach.

Cóż się jednak dzieje?

Żadnego rachunku nie przedkłada, wykorzystuje moje położenie i mówi: „pieniędzy nie dam, bo nie mam“. A że ich rzeczywiście potrzebowałem na rozpoczęcie praktyki lekarskiej, to za poręczenie mi wekslu na 1500 złr. (zapłaciłem go 4/11 1898) w Banku krajowym z Jakóbem Wiśniewskim, **wymusił** na mnie takie **oświadczenie**, że zmarłe siostry **nie** pozostawiły żadnego rozporządzenia ostatniej woli. Kwotą otrzymaną 1/8 1896 od matki w wysokości 1.000 złr. a 600 złr. od siostry Stasi, skwitował mnie jak najbezczelniej i bezprawnie z całego spadku ś. p. sióstr z tytułu ich współwłasności sprzedanego domu w Jaśle. Tytułem spadku po nich z „części“ ich na Różance, to jest za dwa weksle po 3.500 złr. = 7.000 złr. dał mi za pośrednictwem Banku kra-

jowego 3/11 1897 100 złr; w roku 1898 dnia 3/3 100 złr; 3/7 100 złr a przez J. Wiśniewskiego 14/11 27·53 złr i 19/12 30 złr; co czyni razem **357·53** złr. Ponieważ weksle opiewały na 7000; więc 1/4 część na mnie wypadała 1750 złr czyli dał mi mniej o 1392·47 złr bez żadnych rachunków, o które ciągle się upominałem, co właściwym sobie milczeniem zbywał. A gdyby nawet, co słuszne i prawne, dał matce połowę, więc 3500 złr., to 1/4 z pozostałych wynosiła nie 357·53 złr ale 875 złr. A matce przecież **nic nie dał.** Gdyby postępował sprawiedliwie, byłby przedłożył rachunki, szedł prawnie i zgodnie z rodziną a nie otaczał ich mrokiem tajemniczości. Nigdy nie było ugody ale **samowolne i nie na jakimkolwiek obrachunku** oparte bezprocentowe kapanie od czasu do czasu paru guldenami. Zestawienie brata z 6/10 1897 r., okazane mi w odpisie przez Stanisława Wiśniewskiego 22-go listopada 1922., wręczone mu przez siostrę Marję Kudelkową, **jest fałszywe i tak zagmatwane,** żeby naiwnego w pole wyprowadzić; znającego sprawę, cyfry fałszywe oświetlają. Maleńka próba. Wydatki: **na promocję Ludwika Gronieckiego 41·53 złr.** Tymczasem ani Ludwik ani żaden Groniecki **nigdy się nie promował!** Albo pisze że moja należytość wynosi 517·91 złr a dał mi 357·53 złr. Odtrąca na koszta pogrzebu ś. p. siostry Stasi kwotę 551·16 złr., którą **ja zapłaciłem.** Lecz jeszcze jeden kwiatuszek! Staś Wiśniewski otrzymał za 1/4 część po swojej matce a mojej siostrze 1272·66 Kor. tj. 636·33 złr z procentami a ja za całość po dwóch siostrach a więc za cztery takie części bez procentu i „kapaniną" 357·53 złr.! Jakże to inaczej nazwać jak nie **pokrzywdzeniem** lub **oszustwem?** A że *Necessitas ultimum et maximum telum est*, jeszcze jeden przykład z tego zestawienia, oto **„uwięzienie"** matce kwoty 1000 złr aż do zapłacenia poręczonego mi wekslu (zapłacenie go 4/11 1898 nie zniosło „uwięzienia"), względnie aż opuści mieszkanie w Olszowy (własność Ja-

kóba Wiśniewskiego a nie brata), względnie . . . **do czasu jej śmierci.** I to syn! co tak pisze! *Venerari parentes liberos decet!* A gdzie przykazania boże? Czemu Kudelkowa tego zestawienia przed jego śmiercią nie okazała? Odpowiedź łatwa!

Własne cyfry brata skoro go już należycie oświetliły i wykazały ś. p. sióstr Anielci, Stasi, matki i moje pokrzywdzenie a postępowanie przyczynę śmierci Anielci i Stasi, pozostaje jeszcze udowodnić zdolność jego do tego wszystkiego, bocz to przechodzi możność wiary przez uczciwego człowieka.

Trochę cierpliwości! Dowodów dostarczy śmierć matki, życie w Wadowicach, ślub w Krakowie, wesele wyprawione przez Kudelków, postąpienie przy spadku po Emilu Gronieckim, paskowanie a wreszcie pożycie małżeńskie i ukoronowanie całego życia własną ręką skreślonym testamentem, krzywdzącym własne dzieci i własną żonę!

Z życia samolubnego, nasycenia, ironji, z życia, co świat i żywot człowieka ma za błyszczącą fraszkę, przejście do kroków szlachetnych, było niepodobnem. Choć otaczany przez równie sobie bezkrytyczne jednostki, daleki od literatury, czy sztuk pięknych, czy życia obywatelskiego, czy ofiary dla broczącej w krwi Ojczyzny, nie czuł tej jasnej i wielkiej prawdy, że celem życia . . być użytecznym rodzinie, bliźnim, a umysłem i czynem wznosić się jak najwyżej, jak najbliżej ku bóstwu, którego jesteśmy obrazem, że więc do udoskonalenia własnego, do zużytecznienia sił naszych wszystkich, wszystkich chwil życia, całą potęgą dążyć należy, że środkiem do tego celu jest obok pracy i . . ofiara!

Bez trudu nad sobą, bez poświęcenia dla bliźnich, bez ofiary z samolubstwa, chciwości i własnego „ja“, ani pomocnymi społeczeństwu, ani sobie samym czem być powinniśmy, nie będziemy! Nie wiedział nawet tego, że Bóg stwarza człowieka na syna dla rodziców, na brata, męża i ojca! I jeźli nim nie jest na

prawdę, to nie spłaci długu boleści ziemi, a wtedy życie spłynie jego gorzej, jakby go nie było wcale.

* *

Około r. 1903 sprzedał szwagier Wiśniewski Olszowę i miał się obrachować z bratem Teofilem za czas wspólnej administracji. Niestety! Nie nastąpiło to nigdy z całą dokładnością, bo właściwym sobie sposobem umiał napomknienia szwagra w tym kierunku tak zagadywać i odkładać, że je odłożył aż na . . . dolinę Jozefata!

Po sprzedaniu Olszowy, matka przyjechała do Krakowa i zamieszkała w więcej jak skromnych pokojach przy ul. Tarłowskiej w jak największej tajemnicy przedemną na skutek żądania brata Teofila. „obiecującego“ jedynie pod tym warunkiem matce dopomagać — jej własnymi, a tylko przez brata uwięzionymi pieniądzmi (zobacz str. 41). I dopiero kiedy matka ciężko zachorowała, zawezwany Dr Schaitter odsłonił przedemną tą całą tajemnicę. Udałem się natychmiast z żoną do matki nalegając, by się do nas przeniosła. Nie poszło to tak łatwo. Długo opierała się temu mówiąc, że „miejsce matki u córek ale nie u synowej“. Ale gdy jedna córka nie mogła a druga nie chciała jej zabrać do siebie, by boskim prawem a ludzkim obowiązkiem zapewnić jej tą opiekę, jaka córce dla matki przystoi, udałem się o pomoc do Józia Gronieckiego, który obok przy pl. Groble mieszkał a którego poczciwa żona często z nim matkę odwiedzała i w nie jednem wygodziła. Widząc swą niemoc a z dniem każdym więcej znikające siły, zgodziła się. Natychmiast przewiozłem ją do siebie. Niestety! życia uratować się nie dało mimo najtroskliwszej pomocy lekarskiej kolegów-lekarzy i mojej. Wszystkie moje i mojej dobrej żony starania, musiały ograniczyć się już tylko do ulżenia jej cierpieniom, więcej moralnym niż fizycznym. Urodzona 20 listopada 1827 w Jadamwoli obok Starego-Sącza, dnia 15 lu-

tego 1855 zaślubiona mojemu ś. p. ojcu, po 28 latach wdowieństwa a więc po tylu latach trosk i walki z synem Teofilem, wydzierającym jej i rodzeństwu majątek, niemal w zupełności opuszczona od śmierci ś. p. sióstr Anielci i Stasi a prawie więziona od Teofila w Olszowy, by nie przeniosła się do mnie a temsamem nie musiał oddać „więzionych" jej pieniędzy, — uległa!

Dnia 15 kwietnia 1904 r., opatrzona św. Sakramentami, w siedmdziesiątym siódmym roku życia, oddała swą stroskaną, biedną duszę Bogu.

Dopiero na pogrzeb przyjechał brat Teofil i ukochana od niego wspólniczka jego poczynań z matką i z nami, siostra Marja Kudełkowa. A oboje powinni byli już dawno się znaleść przy jej śmiertelnem łóżku, by zdobyć to błogosławieństwo, bez którego każde dziecię i każdy człowiek jest wiekuistą sierotą, aby duch umierającej matki nie odleciał z tą straszną, bo wieczną na nich skargą przed tronem najsprawiedliwszego sędziego, bo tego Boga, co krzywd wdów i sierot nikomu i nigdy nie przebacza! A czy dopiero teraz, gdy usta i oczy matczyne zaparły się na wieki spostrzegli lub przejrzeli, ile w jej cierpieniach duszy i serca było ich a może tylko ich winy?

Brat Teofil zachował się zimno, twarz jego nie zdradziła w niczem cierpienia czy istnienia duszy. Siostra Kudełkowa nie miała nawet odwagi spojrzeć w jej martwe oczy na katafalku w moim mieszkaniu, zalewając się jedynie łzami, tą oznaką nie serca ale oczu, bo łzy, które wyciska dusza, są inne, tak ciche a spokojne, jak umierające to serce, co już siły do pracy, do podtrzymania życia . . . utraca. Jako kobieta była nawet szczęśliwą, szczęśliwą bo mogła spłakać ból, wstyd, grzech nawet, utopić to wszystko we łzach, jakby nic . . .

Jako najstarsza siostra dowiodła że *nil terra ingrato pectore peius alit*, bo zamiast bodaj teraz przy trumnie matki podać rę-

kę do zgody, śmiercią matki poważnie naderwane święte węzły rodzinne, do reszty stargała, bo wszczęła nowe niesnaski, chociaż wiedziała dobrze, że srebra i resztki urządzenia domowego były od dawna u siostry Wiśniewskiej a pieniądze „więzione" u brata Teofila, który rachunku z nich **nie przedłożył mi nigdy ani z należnego mi spadku ani grosza nie wypłacił,** ale jeszcze ściągnął zaraz odemnie 40 Koron na tablicę grobową, a której nigdy nawet **nie** zamówił, bocz tak dla matki jak i dla sióstr moim wyłącznie kosztem umieściłem napisy w kapliczce, wzniesionej równie wyłącznie moim kosztem na ich grobowcu w roku 1909 na cmentarzu rakowickim w Krakowie.

Czarną a grubą niewdzięcznością zapłaciły dwie córki mojej żonie za otoczenie ich matki troskliwą opieką w ostatnich jej życia chwilach, bo awanturą, która spadając jak piorun z jasnego nieba na jej czyste ręce i duszę, wywołała wadę serca, której uległa w cztery lata później.

Tak straciłem matkę, brat Teofil najważniejszego świadka swoich nieprawych grabieży. A choć żałoba pokryła mój dom, to ból serca łagodziło to przeświadczenie, że wedle sił i możności mojej, mogłem dać matce to, co jej od syna należało, za trud i mego wychowania i życie i za tą walkę, jaką często staczała o środki na moje wykształcenie. *Niech wam i waszym dzieciom Bóg nagrodzi* . . . oto te ostatnie słowa na kilka godzin przed śmiercią do mnie i mojej drogiej żony wymówione, są mi więcej jak skarbem, bo tem do Boga odchodzącej duszy matczynej błogosławieństwem, co w najcięższych życia chwilach jest najpotężniejszym puklerzem, niezawodną pomocą.

Brata nie pokrył kir żałoby. Żył na swój sposób wesoło w Wadowicach. Zatapiał pamięć matki i sióstr, żył zadowoleniem dopiętych zamiarów zdobycia ich majątku w domu Banasiów, w którym miał kancelarję notarjalną. Obok w pokoju mieszkała

jej córka, wdowa po ś. p. Świdowskim, podobno urzędniku podatkowym, Franciszka, z synem Antonim, który się urodził już po śmierci jej męża. Z tą to panią Franciszką Świdowską zawarł bliższą znajomość.


Dwa pokolenia Kudelków.

Powoli, wprowadził ją do resursy urzędniczej przy pomocy swej „zaufanej“ siostry Marji Kudelkowej, której to mąż właśnie co przeniesiony z Sanoka do urzędu podatkowego w Krakowie, tutaj zamieszkał z rodziną. I chodzono razem na zabawy! Siostra Kudelkowa wprowadzała ją w ten sposób „w sfery towarzyskie“ a czyniła to bardzo chętnie, bo miała sposobność zabierania też i swoich dobrze dojrzałych córek Stefanji i Heleny. Na zabawach tych przedstawiała brata Teofila (opowiadanie Julji Borowiczkowej) jako „rządcę“ Różanki, była pełną nadziei że się nie ożeni i zapisze Różankę (zobacz poniżej treść testamentu) jej, jej córkom lub jej synowi Włodzimierzowi, w ostateczności pomoże to do wydania córek, do czego jakoś nie było szczęścia.

Przerachowała się grubo, bo kto spodziewa się wiele, zawsze zawieść się musi. Przyjmownie u siebie w domu tej to pani, bywanie z nią na zabawach, zbliżyło brata jeszcze więcej do niej a raczej ośmieliło do zamiany dotychczasowej znajomości aż na małżeństwo! Kiedy już pozyskał przychylność ze strony Kudelków, właściwiej ułatwienie, łatwiej poszło z Wiśniewskimi. Dalsza rodzina nie wchodziła u niego w rachubę. Mnie pominął całkiem. Tymczasem jak najniespodziewaniej przyjeżdża do mnie najserdeczniejszy przyjaciel brata w Wadowicach p. Gołomb z żoną i na wszelkie świętości zaklina, by nie dopuścić brata do tego małżeństwa. Ponieważ jeszcze 16 czerwca 1905 sam brat przedstawił mi panią z Banasiów Świdowską w



bardzo nie ładnym świetle, ponieważ także nie wydawał mi się rozumieć świętości małżeństwa, jak najenergiczniej sprzeciwiłem się temu związkowi. Było to już jednak zapóźno!

O! stokroć łatwiej zniszczyć w zarodzie słabość najzawilszą, poznać jad ukryty w ciele, niż wydrzeć z duszy wpijającą się w nią szponami sępa namiętność, co używa i nie patrzy na dno. Nie pojmował ani swojego położenia i stanowiska, to co go powinno było przestraszać, uśmiechało mu się, zapomniał że zapleśniałe to przysłowie *Mulieri ne credas, ne mortuae quidem*, nakazuje dużo rozwagi, więcej roztropności, wyjątkowej niewiasty!

— Może być, — mówił w styczniu 1906-go roku do mojej żony — ona była inną, inną jednak jest teraz. Ja wiem, ja pojmuję co moja miłość ma występnego, dziwacznego, jak krucha, jak nie pewna . . . ja wszystko wiem, ale ja się od niej oderwać nie mogę. Choć wciągła mnie w miłość bez przyszłości, by się sama nasycić, porzucić ją, niepodobna mi!

— Pamiętaj, — odpowiedziała mu żona — jeżeli to wszystko jest tak, jak mówisz, to jest to prolog do tragedji życia twojego.

— Jest prawo, — dodałem — które nie cierpi wyjątków. Żony należy szukać w swojej sferze, nie sięgać wyżej ani niżej. Zaślepiłeś się chwilową namiętnością, pozorną sympatją ale życie jest nieubłagane, długie i wcale nie tak proste. Są w nim różnice pojęć, obyczajów, nawyknień. Ty znasz je dobrze, bo serce twoje nie znało nigdy uderzenia dla matki, dla zmarłych sióstr, dla mnie. To, co było w tobie, gdy zagarniałeś nasz majątek, gdy chciałeś zniszczyć nawet moje szczęście z Bronią, wyjdzie to wnet na jaw i wyzwie do walki z żoną. A gdy ona raz tylko wybuchnie, zje życie i zatruje. Trzeba być tylko tobą, by się aż tak zaślepić, żeby się rzucić w wir, w którym już setki utonęło pływaków. Ta kobieta nie kocha cię, ty jej także nie kochasz! Robicie świętokradzki kontrakt i może jeszcze chcecie w nim

znaleść szczęście? Jako lekarz, patrzyłem na różne małżeństwa, i powiadam ci bez uprzedzeń do tej pani, że nie znasz upokorzeń jakie cię czekają, ani roli, jaką na swe barki bierzesz. Żona to cała przyszłość człowieka! Takie małżeństwo to jesień na kwiatki, lada mróz je zważy. Wkraczasz na drogę z której się już nie wraca; pijesz napój taki, który musisz wypić do dna. Czyż nie wstyd cię tego śmiechu i szyderstwa, jakimi wskazują w Wadowicach na ciebie? Dzisiaj użyty jesteś do wydobycia jej z przykrego położenia, jutro będziesz rzucony na śmiecie tak, jak na to tym niebacznym krokiem zasłużyłeś. Mówię to z serca i nie dla zerwania z tobą; gdy już klamka zapadnie, ty bratem a ona bratową bądźcie dla nas. Dziś jeszcze wolno mi powiedzieć to, co słyszałeś, jutro . . . nie!

— Ty zawsze swoje wtrącić musisz — odpowiedział mi po chwili milczenia — nie widzę jednak w tem nieszczęścia.

— Dzisiaj być może — dodała żona — ale wierz mi, jakaś dziwna trwoga ogarnia mnie, jakieś straszne przeczucie odtrąca od matki tego chłopca, któremu ty masz teraz być ojcem. Czuję, może dzisiaj niesłusznie, bo to jeszcze dziecko, ale lękam się bardzo, by krok twój dzisiejszy nie był strasznym końcem kiedyś mojego dziecka (sprawdziło się!). Matki jakieś to dziwne przeczucie gryzie mnie i cios zdaje się przepowiadać.

Na słowa te odpowiedzi nie dał już żadnej.

Lękał się najwidoczniej już dalszej obrony, bo każde słowo mogło być tylko poniżeniem tej dumy, jaką „świecił" lata całe, czuł że źle robi, że się odsuwa od rodziny a świat od niego ale otrząść się z tego zła już nie potrafił.

Nie mógł znaleść usprawiedliwienia, bo jedynie w dwudziestu kilku latach czarne oczy kobiety, co tak głośno mówią, że przy ich dźwięku nie słychać trąby archanioła, są czasem niepojętem usprawiedliwieniem, bo wejrzenie to drętwi człowieka jak głos i

oko wieszczka, co grzechotnika zamawia, bocz to tylko wtenczas wszystkie opuszczają siły, wszelka rozwiewa się przyszłość, nawet śmierć i hańba zapomnieć się dają. Tu, tego nie było!



Dnia 2 lutego 1906 r. otrzymałem taki list od brata: *„Drogi Mieciu! Zawiadamiam Cię i Bronię że około 6/2 06 odbędzie się mój ślub w „Krakowie z p. Franciszką Świdowską rano i „cicho. Proszę Was przeto na ślub i skromne „śniadanie a gdzie to się odbędzie to później do„niosę . . . Całuję Was z dziećmi serdecznie Nartowski"*.

Temi słowy brat zawiadamiał brata na cztery dni przed ślubem, bez oznaczenia miejsca ślubu i wesela. I rzeczywiście w dniu 6-go lutego 1906 roku wieczorem odbył się ślub w kościele św. Florjana w Krakowie a gody weselne u siostry Marji Kudelkowej w domu przy ul Długiej.

W ten sposób „usłuszna, luba siostrunia "dopomogła do tego ślubu i wesela, co musiało i wstrząsnąć kośćmi rodziców w grobie i wywołać prawdziwe ubolewanie w rodzinie i przypieczętować jego życie towarzyskie w Wadowicach. Panią Franciszkę z Banasiów Świdowską przemieniła na rejentową Nartowską i żoną „właściciela" dóbr Różanka. Synowi jej Antoniemu dała „ukochanego" brata na . . . ojca, zatem odpowiedzialnym moralnie za wszelkie jego sprawki!

Nie wiem jak się tam bawiono, bo „mnie z nimi nie było, nie piłem z nimi miodu i wina", wiem jednak że „kwaśno", skoro Józio Groniecki zapytany na drugi dzień po weselu o wrażenie, dał mi tak dobitną odpowiedź: *mam uczucie karakona w ustach a wypluć go nie mogę!*

Takie to dzieje poznania, narzeczeństwa, ślubu, wesela a wreszcie założenia rodziny przez brata Teofila wbrew przekonaniom własnym, rodziny i opinji publicznej Wadowic.

I upłynęło lat . . . sporo!

Spotkaliśmy się dopiero w drugim roku wojny światowej dnia 11 czerwca 1915 roku na pogrzebie ciotecznego brata Józefa Gronieckiego († 9/6), w kościele parafialnym w Brzyskach.

Zimne przywitanie było oznaką więcej konwencjonalnej grzeczności niż serca. Inaczej być nie mogło. Wszak chwilowe co lat kilka spotkanie się, zamiana obojętnych słów kilku, nie może być tym węzłem, co łączy rodzeństwo, znakiem zbliżenia czy przejścia ponad złą wolą wykopaną przepaść, ale rodzajem koniecznej grzeczności wobec otoczenia, pamięci ludzi.

Spotkania takie zdarzają się często w życiu człowieka. I my co lat kilka widywaliśmy się w Krakowie, on nawet w roku 1913 wziął synów moich Jasia i Adasia na kilka tygodni podczas wakacji do Różanki, nie zrobił tego jednak z pobudki własnego serca, bo go nigdy nie miał, zrobił dla ich babci Marji Wolańskiej, by się pokazać innym jak był lata całe i w jej przekonaniu; nie otoczył ich tam sercem stryja, ale ograniczonego człowieka.

Spotkanie teraz było odmienne m.

Stanęły mi przed oczami te dawne czasy, które cierpieniem z jego własnej li tylko winy i błędów, wyryły mu na twarzy lat długich . . . cierpienia!

Od dnia ślubu z panią Świdowską, jakaż to szalona zmiana w obliczu, rozmowie, obejściu i sądzie!

Nie kochając nigdy rodzeństwa, nie mógł oprzeć małżeństwa na tej miłości, której nie można mięszać z prostą pożądliwością, bo tylko miłość prawdziwa nie jest egoizmem ale tą ofiarą, co prowadzi to co kocha na wyżyny a nie w ciemną pieczarę jakąś, aby pożreć i nasycić się tylko. To też nie znalazł w nim szczęścia ale utrapienie, bo nie umiał znieść w nim nic z tego, co przez wiele przeciwności czyni małżeństwo coraz piękniejszem i daje świętość, siłę i — spokój duszy.

Nie spełnił obowiązków, nie dążył nawet nigdy do tego, bo wnet po ślubie wywiósł małżonkę do Różanki, gdzie 15 sierpnia 1905 urodziła mu syna, któremu na chrzcie 25 grudnia 1906 w Wadowicach dał imię Józef - Wincenty, imiona ojca i dziadka!

Z mowy i twarzy jego można było odtąd stale wyczytać, że sakrament małżeństwa posiał zgryzotę na resztę jego życia i stał się przyczyną odsunięcia od życia towarzyskiego, zerwania z tem otoczeniem, w którem pozostawać nakazywało mu jego stanowisko społeczne.

Cóż to za związek, w którym mówić nie można, którego się wstydzić potrzeba, od którego przyjaciele oczy odwracają?

I już odtąd nie odezwało się w jego sercu nigdy przywiązanie do rodziny dawno wygasłe, nie uczuł już nigdy, że nie ma słodszych i silniejszych węzłów, nad węzły miłości rodzinnej, jak nie ma sroższej nienawiści od nienawiści poróżnionej rodziny, która w kilkanaście lat później (1920) dała śmierć mojemu najstrrszemu synowi Jasiowi ręką Antoniego Świdowskiego, syna jego żony z pierwszego małżeństwa.

Kiedy minął „szał honoru", znikł kit wiążący małżonków. On „mumiał" znosić małżonkę, ona „musiała" poddać się władzy mężowskiej, zdala od Wadowic bo w Różance traktowana gorzej od służącej a w końcu testamentem nawet od prawa opieki nad dziećmi i ich majątkiem z całą swoją rodziną odsunięta! I czyż mógł postąpić inaczej, on co chrzci syna imieniem ojca i dziadka, których ostatniej woli nie uszanował, córki imieniem sióstr, których śmierci był winnym! To zrobienie sobie „memento" na własnych dzieciach, jest wprost niezrozumiałem. Chciał chyba by jego czynami wepchnięte do grobu imiona w innych postaciach, nie jako dzieci ojca, ale jego własne, . . . odżyły! Czy te imiona niewinnych sierot nie były wstrząsem sumienia może?

Spotkanie w dniu tym z bratem przypomnieć musiało te to

wszystkie przejścia i koleje lat młodych, przypomnienie tem silniejsze, że przy zwłokach tego człowieka, co był mi tarczą osłonną przed jego „opiekuńczo-braterskiemi“ skrzydłami.

Na drugi dzień po pogrzebie, na prośby brata Teofila, wyjechałem z nim do Różanki. Ciągło mnie tam zresztą wspomnienie lat minionych. Chciałem tutaj wspomnieniem odżyć, nakarmić ducha. Niestety! Dzieci zamazgajone, brudne, pod opieką wiejskiej dziewczyny-matołka, wszechwładną gospodynią nie żona ale do obrzydliwości spasiona długowłosa faworyta; mieszkanie w nieporządku, budynki gospodarskie nie wojną ale czasem i zaniedbaniem zniszczone, „pszczelnik“ — dawne nasze mieszkanie za życia ś. p babci — zrujnowany, ogród owocowy zupełnie zaniedbany, pręcikami w ziemię luźno wetkniętymi ogrodzony, dojazd to długie bagno błota! - wszystko zdradzało brak poczucia ładu i porządku.

Do sknerstwa posunięta oszczędność, czyniąca z dworu nie mieszkanie inteligentnego człowieka i właściciela ale „t y r a n a“, jak niegdyś matki i rodzeństwa, dziś żony i jej dzieci.

Do obrazu, jakim wyrył się w mojej pamięci z lat dawno minionych, przybyło samolubne patrzenie na świat, ukochanie tylko pieniądza i to zwierzęce ciężkie stąpanie po ziemi bez spojrzenia na wyższe cele człowieka, na piękny świat boży. A przecież strona piękna i poetyczna świata, jest jego twarzą prawdziwą, czarna obliczem fałszywem tylko! Wznoszenie się od ziemi jest tą poezją, co jest życia prawdą; stąpanie t y l k o po ziemi prozą, co jest zmyśleniem . . .

Dziwnym był dla mnie z swoimi zapatrywaniami. Nie mogłem pojąć jak można żyć w łańcuchach rzeczywistości, nie dźwi-

gając się na wyżyny, jak można niedążyć do uszlachetnienia, nie wiedzieć, że wszystko co uszlachetnia, co uskrzydla człowieka, co go do Boga przybliża, jest poezją, że nią są niebo i aniołowie, przyszłe życie i nieśmiertelność, jak można bez tego wytrwać i nie zostać . . . zwierzęciem? Wszak nawet starość co przybliża do grobu, powinna z ciała odzierać a uduchownić człowieka.

I na moje w tym kierunku przedstawienia, miał tą smutną jedynie odpowiedź: *„Inne było Twe życie, we mnie tkwi ból i wyrzut, między nami jest wielka różnica, z ciebie życie płynie w świat, we mnie zamiera, ja szukam ciągle szczęścia ale go nie znajduję, dla Ciebie jest ono wszędzie.“* I miał może słuszność, inne bowiem ideały świeciły nam w życiu. Mój ideał nie zczerniła ziemia, nie zniszczyło obcowanie z ludźmi, nie pochwyciła nędza czy namiętność, nie był chwilą w mem życiu ale jedynie kwiatem młodości, który rychło więdnie. N i e r o z u m i a ł mnie wcale. Patrzyłem dni kilka na stargane jego życie własnemi poczynieniami, na brak ufności do matki swych dzieci, na chytrość czy skąpstwo, co nie było nigdy z życiem mojem zmięszane, co też znieść nie mogłem i jak najrychlej z łzą w oku nad jego zmarnowanem życiem odjechałem do Jasła, gdzie zamieszkałem w pokoiku w domu przy ul. Florjańskiej l. 15., w tem samem, w którem mieszkała siostra Kudelkowa z mężem przed laty trzydziestu kilku, obecnie własności p. Dutkiewiczów z Kołaczyc, których syn Józef był zastępcą brata w kancelarji notarjalnej. Był to człowiek bardzo zacnego charakteru, trzeźwo patrzący na świat dobry prawnik, dla rodziny całym sercem oddany - zupełne przeciwieństwo brata. Jego to koniem przez dłuższy czas jeździłem na komisje sanitarne po wioskach powiatu jasielskiego, aż wreszcie na przesstawienie i naleganie ks Tadeusza Dutkiewicza, brat za pieniężnem wynagrodzeniem wypożyczył mi wózek z koniem zwanym „tatarem“, zaznaczając, że jest własnością Wiśniewskiego.

Dnia 13 września 1915 roku umarł nagle na udar serca w Sobniowie pod Jasłem Emil Groniecki, brat w czerwcu zmarłego Józefa Gronieckiego.

Z okazji jego śmierci brat Teofil wystąpił z rolą nieproszonego „dobrodzieja-opiekuna" siostry zmarłego Klementyny, wdowy po ś. p Wł. Blachaczku. Nakazał jej zataić pozostałą gotowiznę i książeczki wkładkowe z jasielskiej Kasy oszczędności.

Ładny „urzędowy" czyn . . , notarjusza!

Nie dość mu było tego. Użył niegodziwych środków, by pozostałą po ś. p. zmarłym realność w Sobniowie z krzywdą reszty rodzeństwa oddać siostrze Klementynie, co się wreszcie i stało.

Na wdowę po ś. p. Józefie Gronieckim nalegał by się imieniem małoletniego (specjalność brata Teofila krzywdzenia małoletnich) chorego syna Adama zrzekła spadku na rzecz wspomnianej Klementyny, która ostatecznie „lwią część" spadku z krzywdą reszty, bardzo nawet biednej, rodziny posiadła. Niespodziewane wystąpienie Julji Borowiczkowej ujawniło na czas jeszcze zatajone książeczki i uchroniło niebecną przy śmierci rodzinę od zupełnego skrzywdzenia.

Sprawy spadkowe tutaj zdemaskowały honor brata Teofila, jako człowieka i notarjusza, przekonały o jego zdolności do tego grzechu, co woła o pomstę do nieba, który popełnił i na mojej ciotce i matce, na moich siostrach i na mnie i rzuciły światło na drogę, którą doszedł do majątku i . . . Różanki.

W październiku tegoż roku chciałem odkupić od żyda Kowalowy. Brat Teofil stanął z całą siłą swoich wpływów i znajomości na przeszkodzie. Nie dopuścił do urzeczywistnienia moich marzeń i zdobycia tego szczęścia, które odsunął podstępnie odemnie w moich latach dziecinnych (str. 9.), od szczęścia, którym jest spokój wśród cichej, ustronnej, rodzinnej wioski.

Dłuższy czas minął. Chory przyjechał z żoną do mnie. Zająłem się nim szczerze. Wspólna narada z prof Drem Rutkowskim i Drem Godlewskim a potem leczenie, wróciło mu zdrowie.

Wracam do najboleśniejszych tych chwil, po których choćby sercu wróciło nawet zdrowie, cudem wyleczyła się pamięć, — to ból do śmierci już zostanie w głowie.

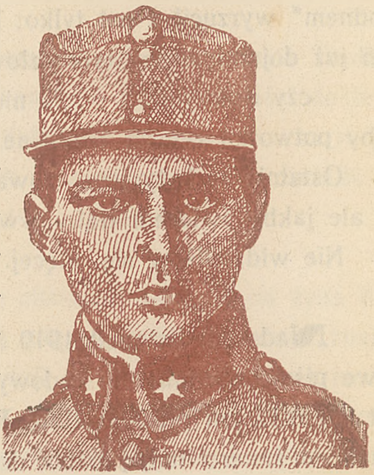
W sierpniu 1919 roku przyjechał brat Teofil do Krakowa. Przy okazji rozmowy o swoim zdrowiu i swoich stosonkach domowych, przypomniał mi moją „niewdzięczność" za jego trudy i koszta w staraniu się o rękę bratowej Zofji Gronieckiej . . . . . dla mnie! *Obstupui . . . !* „Niewdzięczność" za to, o co go nigdy nie prosiłem a co wylęgło się w przedwcześnie stwardniałymi tętnicami odżywianym jego mózgu i to w dzień pogrzebu jej męża, polegała na tem, że odmówiłem z miejsca jego swego czasu naleganiom na mnie, abym u jego żony wykonał pewien . . . niehonorowy i . . . karygodny i . . . nieetyczny zabieg operacyjny! Do dyskusji na oba te tematy nie doszło, spieszył się bowiem do „jedynie kochanej swej siostry" Kudelkowej. „Na odchodnem" wyrzucił z ust tylko: **Zapłacisz . . . łzami!** I z planem już dojrzałym czy tylko złowieszczo rzuconych słów, tą razą . . . czy dotrzymał . . . ? nie wiem i nie twierdzę . . . . ale jakby potworną zemstą zrodzone, . . . spełniły się!

Ostatnie to były jego słowa do mnie, półgłosem rzucone z ust ale jakby świdrem trąby wwiercone w mózg!

Nie widzieliśmy się więcej.

Nadszedł listopad 1919 roku! Otrzymałem z Jasła anonimowe pismo a w nim akt sądowy, który dowodził, że brat Teofil jest **nieprawym właścicielem Różanki.** Wtedy, dopiero po 36 latach od śmierci mojej babci dowiedziałem się, jak podle zostałem oszukanym, jak podstępnie i nieprawnie **wymusił** na mnie

podpisanie kontraktu sprzedaży sobie mojej „części“ własności na Różance, której ja a **nie on** powinien być właścicielem, bo w odnośnej uchwale Sądu tarnowskiego ma nie w z m i a n k i nawet o przydziale mu Różanki ale uchwała w y r a ź n i e powiada, że właścicielami są Czesława, Aniela, Stanisława i Mieczysław. A skoro ś. p. Aniela i Stanisława swój majątek przekazały mnie, przeto mnie i Czesławie **powinna** przypaść Różanka. Po długiej rozwadze, stanęły mi przed oczami jasno wszystkie jego poczynienia przez cały szereg lat, pismo Sądu kraj. w Krakowie z 12/3 1897. L. 9269. treści: *Przyjmuje się do wiadomości iż zarząd majątkiem powierzono Leokadji Nartowskiej* a więc **nieprawne** jego gospodarowanie poza plecami matki; dekret przyznania spadku po ś. p. moim ojcu z 4/2. 1886. L. 18672., którym mnie przyznano 64/294 a reszcie rodzeństwa po 46/294 części a mimo to i tak w rzeczywistości dostałem najmniej; testament babci z 2/4. 1878 roku, którym przekazane miałem kilka pni pszczół i konia „Maćka“ a nie otrzymałem nic z tego, wreszcie uchwała Sądu krajowego w Krakowie z 25/6. 1898. w sprawie spadku po ś. p. moich siostrach.



Dnia 9 grudnia 1919 roku napisałem do niego list, którym ja pokrzywdzony **prosiłem** go, by przyjechał do mnie, bo *chcę w honorowem załatwieniu wszelkich rachunków utopić moje pretensje i użyźnić Twe pola plonem nie z krzywdy brata ale z błogosławieństwa bożego płynącem. Byłyby to prawdziwie miłe i łaskę bożą niosące nam na resztę życia dnie.* Niestety! W odpowiedzi nasłał Antoniego Świdowskiego

syna swojej żony z pierwszego jej małżeństwa, kaprala z czasów austryjackich, który z piechura „prawem kaduka“ dostał się do artylerji polskiej i zaraz potem awansował na podporucznika! Aż dotąd nienawidzony przez mojego brata, teraz zadziwiająco dla niego w dostarczaniu mu pieniędzy hojny! Dumnym był z dopiero co odziedziczonej po jakiejś babce wioski „Koło tynieckie“, nieokrzesanie towarzyskie pokrywał tem zachowaniem, która cechuje ludzi bez wychowania, na rozrzutności opierających swoją wyższość, na dostatku swoją inteligencję. Nienawidzony przez kolegów, typ do każdego zła i nawet zbrodni* próżniaka, przeszedł gimnazjum nie pracą i pilnością w naukach ale prowincjonalną protekcją. Dzieci moje nienawidził a najwięcej mojego Jasia za to, że stronił od niego a ostatnio nie chciał mu sprzedać swojego brauninga. Podjudzany na mnie przez dziedzicznie „kieliszkiem“ obciążoną matkę i ojczyma — mojego i sióstr moich i mojej matki kata — wiedział że Jaś to moje najdroższe dziecię, że uderzenie w niego, będzie najcięższym dla mnie . . . ciosem! Na niego więc — ten niewdzięczny padalec za leczenie go i wyleczenie w czwartym roku życia w 1903 r. i potem w maju 1911-tym — zarzucił łajdackie, z zemsty utkane zbrodnicze sieci. Chciał go najpierw swoją „przyjaźnią zaszczycić“, ale jednak Jaś to odepchnął z pogardą, bo ponad jego zabawy podejrzane i trwonienie w nich nadmierne pieniędzy, przenosił spokojną pracę i przygotowywanie się do egzaminu prawniczego a ponad dom i mnie i mogiłę mamusi nie znał innych „młodzieńczych“ przyjemności.



Wbrew moim i dzieci moich życzeniom, przychodził Świdowski co kilka dni do mojego mieszkania po listy i paczki peł-

* Zbrodnia nieukarana. Antoni Świdowski. Kraków 1921.

ne łakoci, chleba, masła i mięsiwa, których obfitością chełpił się przed moimi dziećmi a chleb często aż do spleśnienia pozostawiał w moim domu i to w czasie, gdy na gramy miasto wydzielało lichy chleb kukurydziany. Paczki te i listy celowo wysełała mu matka pod adresem mojego mieszkania, choć mogła je do niego wprost adresować, mieszkał bowiem w Krakowie przy ulicy Rakowickiej.



W kilka dni po przesłaniu listu do brata, zaczął częściej przychodzić do moich chłopców. W pokoju mojego Jasia w tajemniczym pakunku gromadził ekrazyt z szrapneli wojskowych! Po powrocie ze Świąt Bożego Narodzenia nagle i najniespodziewaniej zaczął wychwalać „ojczyma“, wkradać się częściej pod różnymi pozorami do mojego domu. Zawsze od przestąpięnia progu już dopytywał się tylko o mojego . . . Jasia! Wreszcie . . . . w niedzielę dnia 4 stycznia 1920 roku przyszedł około godziny 4-tej po południu i natarczywie, wprost uderzająco domagał się od Jasia, by mu sprzedał brauning, jaki Jaś kupił sobie od Stasia Wiśniewskiego na wypadek przeniesienia do służby frontowej w randze podporucznika wojsk kolejowych. Gdy Jaś po długim napieraniu stanowczo mu sprzedaży odmówił, powiedział wobec mnie, mojego najmłodszego syna Mieczysława i obecnego wtedy u mnie p. Lucjana Tomasika, że *„kupi sobie lepszy i jutro z nim przyjdzie“*.

I rzeczywiście przyszedł następnego dnia, 5 stycznia 1920 roku około godz. 3-ciej po południu z d u ż y m nabitym brauningiem. Natychmiast po wejściu do mojego mieszkania, zapytał: *gdzie Jaś?* Po otrzymaniu odpowiedzi, wszedł do mojego pokoju ordynacyjnego, w nim bowiem był wtenczas Jaś. Ja byłem w przyległym pokoju. Usłyszawszy słowa: *patrz jaki mam duży*

nabity brauning, wpadłem do pokoju. Jaś siedział na taborecie a Świdowski stał na 4 kroki przed nim i **celował** w jego głowę, którą Jaś zasłaniał dłonią i mówił: *Tolek daj spokój!* Wtenczas Świdowskiego ostro złajałem, **wyjąłem** z brauninga **wszystkie naboje**, położyłem je na biórku i z słowami: *nie ruszaj naboje, bo może być nieszczęście,* wyszedłem do drugiego pokoju.

Nie upłynęło minuty, gdy usłyszałem rozpaczliwy **krzyk: Tatusiu!** Rownocześnie padł strzał. Wbiegłwszy do pokoju, znalazłem Jasia w **kałuży krwi** na podłodze.

Z słowami: **Zbóju! zabiłeś mi dziecko,** rzuciłem się do ratunku Jasia.

Kula przechodząc po prawej stronie krtani przez szyję, uderzyła w rdzeń pacierzowy, co wywołało natychmiastowe znieczulenie i porażenie całej dolnej połowy ciała. Rana wskazywała na bieg kuli w kierunku skośnym od góry ku dołowi — dowód strzału stojącego do siedzącego.

W czasie opatrywania rany, przybiegł telefonicznie wezwany Dr Józefczyk, który zadecydował natychmiastowe przewiezienie biednego mojego Jasia pogotowiem ratunkowem do wojskowego szpitala okręgowego, w celu zbadania promieniami Röntgena umiejscowienia kuli i ewentualnego jej wyjęcia.

Mimo najtroskliwszej opieki mojej i kolegów Dra Pisarskiego, Landaua, Zanietowskiego i asystentów oddziału chirurgicznego, biedny mój Jasiu słabł coraz więcej a czując ulatujące życie, tulił się do mnie i mówił: **Tatusiu! ja tak żyć chcę dla ciebie, ja cię tak kocham bardzo . . . . Tatusiu! . . . ratuj swojego Jasia . . . . proście Bozi i mamusi . . . !**

I ja to słuchałem a łzą nie mogłem nawet okazać zwątpienia w to . . . już . . . już . . . ulatujące mi drogie życie dziecięcia! Ja, tak szczerze oddany mym drogim dzieciom, patrzyć na niego i słuchać musiałem jak prosił o to życie, które mu dałem

dawno a nie mogłem przewidzieć przyszłości i obrachować jej, bo ona nie była w mocy ludzkiej. Ja, który to serce trzymałem w dłoni, na którego piersiach spoczywała głowa ukochana, nie mogłem wyrzec, że jestem panem jutra jego życia! Z całą ufnością dziecięcia przyjął św. Sakramenta, z ufnością w życie . . . . ale już



nie doczesne! Dnia 10-go stycznia 1920 roku o godzinie 8-mej z rana na moich i najmłodszego mojego syna rękach, oddał duszę Bogu, odleciał do swojej ukochanej mamusi, do tych kwiatków i krzewów, które swą rączką sadził i podlewał na jej grobie.

† † † † † †

Świdowski na słowa moje: **Zbóju! zabiłeś mi dziecko,** błagał i całował mnie po rękach, abym powiedział, że *Jaś sam sobie życie odebrał!* O to prosił także syna mojego Mieczysława. Spojrzałem na niego i spostrzegłem na jego zbójeckim obliczu, udane zamięszanie, nie rozpacz, nie żal czy trwogę, nie bladość twarzy ale ten zbójecki wyraz, co zadowolenie z spełnionej już zbrodni zdradza i z sobie tylko, mordercy właściwą dumą mówi: *poszło jak przemyślałem!*

Po dokonanej zbrodni obmyślonego i dokonanego morderstwa — . . . **zbrodnia oszczerstwa!** Wyrwany sobie z ręki morderczy brauning i rzucony pod kanapę, wyszukuje wobec broczącej ofiary jak najdroższy a niezawodny klejnot, podejmuje go i wybiega z mieszkania; trzeciego dnia . . . ulatnia się na front, by przełożona władza nie odesłała go za kraty na tyły przy ul. Monteluppich.

Tymczasem rozpuszczona przez niego i „usłużnych" mu za libacje przyjaciół pogłoska o **samobójstwie,** wstrzymywała natychmiastowe śledztwo za życia syna, jako kryminał mu otwierającego świadka i ułatwiała mu bezkarność a kalała wiarę, czys-

tość, wychowanie i cześć mojego ś. p. Jasia, który w czasie tamowania krwotoku powiedział do mnie w obecności mojego syna Mieczysława, córki Zofji i p. Marji Michalskiej: »Kiedy Tatuś wyszedł z pokoju, Tolek zaraz wziął nabój z biórka i włożył do brauninga celując we mnie. Wtedy krzyknąłem »Tatusiu« i chciałem wybiegnąć do tatusia ale on strzelił«. Słowa te powtarzał i w szpitalu wobec odwiedzających go kolegów, którzy przynosili mu mleko, nawet drzewo i węgiel, gdyż w sali spitalnej nie palono, mimo bardzo silnych mrozów.

Koledzy Jasia oburzeni szerzoną przez Świdowskiego pogłoską o samobójstwie, nie mogli nawet oszczerstwa choćby tylko przed sąd honorowy wytoczyć, bo przed chwilą zbrodniarz i oszczerca, teraz niby podły tchórz, drogą utartą a każdemu mordercy właściwą . . . ucieka jak może najdalej od swej ofiary!

Daje więc sam jeszcze jeden dowód nie przypadku, nie nieostrożności ale dobrze obmyślanego planu.

Okręgowy szpital wojskowy choć wiedział o beznadziejnym stanie, nie przesłuchał chorego ani nie zawiadomił prokuratury Sądu wojskowego ani D. O. G. o dokonanym fakcie, umożliwiając w ten sposób Świdowskiemu ucieczkę od ofiary, bo gdyby to była tylko nieostrożność, nie potrzebowałby oszczerczą pogłoską o samobójstwie zwalać z siebie winy, sprawę gmatwać i zyskiwać na czasie! Tego prawemu a wypadkiem nieszczęśliwemu człowiekowi, nie pozwoliłby honor i godność żołnierska. Ale tych nie można było szukać u Świdowskiego, co już raz dusił mojego najmłodszego syna, gromadził na strychu domu w Różance . . . ekrazyt!

Dnie całe i noce czuwałem z najmłodszym synem przy Jasiu. Takim miłym a bolesnym wyrazem nadziei i ufności w życie świeciło oblicze jego pełne czystych i szlachetnych rysów, że patrząc na to dobre i szlachetne dziecko, serce pękało od bólu.

Kochali go wszyscy aż do zazdrosnych dla słodyczy jego charakteru. W szpitalu otoczony kolegami, smutnie na nich spoglądał, pytał co łzy znaczą w ich oczach i z całą ufnością w życie patrzył na mnie i z oczu moich chciał czytać . . . nadzieję ocalenia! Siedziałem przy biednym Jasiu, w każdem jego westchnieniu, spojrzeniu czy skinieniu szukając wracającej siły życia! Dopiero gdy zamknął oczy na wieki, oddał Bogu swą niewinną duszę, gdy ukochane zwłoki miałem złożyć obok trumny mojej ś. p. najdroższej żony, miłej jego mamusi, m o g ł e m odejść i prosić prokuraturę wojskową o zwolnienie zwłok od sekcji. **Wtedy to dopiero** władze wojskowe dowiedziały się o fakcie dokonanym a **dopiero w 42 dni** po spełnionej zbrodni ograniczyły się do przesłuchania **jedynie** mnie (L. c. 761/20) w dniu 27/2. 1920 r.



Jawne moje wystąpienie w roku 1906 i stanowcze sprzeciwienie się stosonkowi matki Świdowskiego z moim bratem a zwłaszcza pokryciu go małżeństwem, dawne spory majątkowe a ostatnio kategoryczne żądanie obrachowania z należnego mi po rodzicach i siostrach moich spadku, to tło-

do nienawiści matki i ojczyma, co przechodząc odpowiednio urabiana na syna, w **k r w a w ą** zmieniła się **z e m s t ę**, bocz oto kiedy po śmierci Jasia robiłem porządek w jego pokoju, znalazłem na półce odstąpionej w szafie Świdowskiemu na przesyłane mu obficie przez matkę wiktuały, starannie owinięty **wojskowy woreczek z prochem**, wyjętym najprawdopodobniej z **n a b o j i** armatnich!

Wchodziła więc tutaj już w grę najordynarniejsza **kradzież** materjału wojennego w najkrytyczniejszych dla państwa chwilach i umyślona **chęć i zamiar** użycia go. Wszak to odkrycie w moim mieszkaniu, gdy miał swoje **b l i ż e j** i obok niego kilka razy dziennie przechodził, materjału wybuchowego, niezamkniętego i wcale niezabezpieczonego, czyż nie nasuwa pewności prawie, że Świdowski planował już dawno celowo zemstę na mój dom, że zamierzał nas wszystkich może nawet zgładzić! A kiedy Opatrzność boża nas chroniła, przygotował plan uderzenia na to najstarsze moje dziecko jako natychmiastową zemstę za to, że jego matce powiedziałem: *„Kobieto! bój się Boga! nie dawaj mu tyle pieniędzy, bo może być z tego tylko nieszczęście“*. Słowa te musiała mu powtórzyć, bo odtąd już więcej krył się z swoimi wydatkami, wreszcie z wydatkiem na szybko nabyty . . . wojskowy brauning! A kiedy w dniu 19 grudnia 1919 roku, gdy jechał na święta do ojczyma, oświadczyłem mu, że stanowczo i sądownie muszę przeciw bratu a jego ojczymowi wystąpić, — stosonki zostały zerwane.

W szesnaście dni potem padł strzał, który wyrwał życie z mojego dziecka! strzał, co wywołał tą straszną kałużę krwi, w której miało utonąć szczęście całej rodziny; **k a ł u ż y**, która nie mogła mnie zamknąć ust ani uratować czci i godności ojczyma czy matki, bo zrodziła wieczne przekleństwo i zbrodnię.

Oby nigdy się nie był rodził ten pogrobowiec, bo życie nie

jest największem bogactwem człowieka a w zbrodni popełnionej tylko największe nieszczęście tleć i czekać go musi. I choćby mu każda spadająca z oczu moich kropla łzy w beczkę złota zmieniać się miała, nie zazna szczęścia nieszczęściem i śmiercią dziecka mojego!

Zbrodnia dla której nie znalazł ani ojczym ani matka słów potępienia, rośnie i potężnieje z dniem każdym, bo to zbrodnia **ułożona, wspólnie przemyślana,** zbrodnia najstraszniejsza, bo bierze życie a zrywa nie chwilowej, nie przypadkowej, dorywczej a zawsze interesownej znajomości czy przyjaźni ale najszlachetniejsze i najsilniejsze te miłe więzy rodzinne, rozrywa je na zawsze, bo **piętno Kaina jest strasznem!**

Tylko ludzie pozbawieni praw nazwy człowieka, mogą nie poszanować boleści, która każdą śmierć otacza, boć jest coś w zgonie nawet najobojętniejszego nam człowieka, że każdy ściska za serce i przeraża a nagłe ustanie życia, ostudza namiętność nawet. A czyż można być nie zwyrodniałym ojczymem czy matką,

co nie tylko nie potępiają ani bodaj jednem słowem zbrodni ani jej sprawcy ale obsypują go jeszcze pieniądzmi i podnoszą czyn jego do heroizmu,

co dziecku swojemu*) po dokonanej zbrodni przez jego brata każą pisać do mojego syna słowa nie poety Polaka, bo na to serce polskie by się nie zdobyło, ale Niemca, te słowa co nie przypadek ale uplanowaną zemstę udawadniają:

„Du tatest Sohn, wie sich's gehört,
die Tat ist gut . . . “

O tylko alkoholem zwyrodniała matka, nie umiejąca ocenić ofiar gorących serc Ojczyźnie składanych, może zwiększać mój ból słowami: *„padają inni na wojnie, mógł i on paść!“* . . . albo

*). List Józefa, syna pierworodnego brata Teofila i Franciszki Świdowskiej z dnia 28. I. 1920 r. do mojego syna Mieczysława w wierszach . . . niemieckich!

grozić *„urbi et orbi"* po śmierci swego męża, że gdybym się o majątek mój upomniał, ona zrobi mnie . . . warjatem!

Tak! Syn mój mógł paść na wojnie, bo tam się padało dla Polski, jako najwyższa i najszlachetniejsza ofiara miłości drogiej Ojczyzny, ale nie padać niewinnie w chwili, gdy po latach pracy i nauki doszedł do stanowiska, najpiękniej pokończył egzamina i służył Ojczyźnie, gdy miał mi być podporą na me stare lata a opieką i wszystkiem dla rodzeństwa!

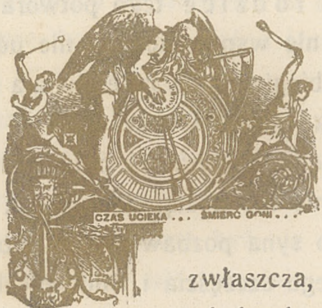
Zbrodniarz ucieka i myli ślady za sobą przed karzącą sprawiedliwością, nie ma żalu ani słowa pociechy dla zrozpaczonego ojca i rodzeństwa swojej ofiary, rodzice tego potwora nie znajdują się nawet na pogrzebie i nie współczuciem, nie udaną bodaj łzą w oku ale kłamliwem wybiegiem usprawiedliwiają swą nieobecność wobec obcych, — matka nawet wobec Sądu — nie przychodzą do nieszczęśliwego ojca z wyrazem bólu na twaale jeszcze urągają zmarłemu! Oj nie tak postępują rodzice, co nieszczęśliwą nieostrożnością swego syna pozbawiają najbliższego krewnego, bo brata, największego szczęścia i trudów całego jego życia i łamią mu go na zawsze, — ale rodzice człowieka, co czyn spełniony mile przyjmują, bo wspólnie obmyślona zrodziła go nieuzasadniona zemsta!

Moja rozpacz, zachowaniem się brata a ojczyma i matki zabójcy dokrwawiona, będzie w ich pokoleniach długo „mieczem Damoklesa" ciążyła, bo wydrzeć małoletniemu majątek a za upomnienie się o niego nasłać w dom jego człowieka, co sprzątnął mu syna, to czyn ohydą swą tak wielki, że słów na niego i nie ma i być nie może, że sądzić go może tylko . . . Bóg sprawiedliwy, że niczem już nie dająca się zatrzeć *vultus* Świdowskiego będzie na zawsze *ejus animi index!* — piętno i najstraszniejszy znak ostrzegawczy, ani jego majątkiem, ani życiem nie starty, bo *homines amplius oculis, quam auribus credunt!* — bo

bréve et éfficax iter est per exempla! — a te są więcej jak liczne a wszystkie straszne w życiu Antoniego Świdowskiego.

Lecz chodźmy dalej, bo czas choć mile płynął „dziedzicowi“ wydartej rodzeństwu Różanki, ojczymowi zabòjcy-oszczercy mojego Jasia, bo sumienie głuszył szum lasu i odwiecznej lipy, wór złota i ustawiczna wojna domowa z małżonką, to przecież . . . . . śmierć goniła!

— — — — —



Nietaktowne zachowanie się brata Teofila po śmierci ś. p. mojego Jasia a potem i Adasia, kpiny z moich pretensji majątkowych i oczernianie mnie jeszcze jako malkontenta, pchnęły mnie już na drogę stanowczą a zwłaszcza, gdy bratowa Zofia Groniecka oświadczyła mi w jego imieniu, że mogę robić co mi się tylko podoba, bo brat ma tyle pieniędzy, że się nikogo ani Sądu nie boji. Sama bratowa oburzona na niego o uprawianie na niej lichwy zbożowej, nie miała dość słów na wyrażenie swojego oburzenia na jego nienasyconą zachłanność.

Po naradzie z nadradcą Drem T. Warchałowskim i notarjuszem Lucjanem Lipińskim, dnia 18 czerwca 1920 roku wniosłem do Izby notarjalnej w Krakowie pismo:

Wysoka Izbo!

Po moim ojcu Józefie, zmarłym w roku 1876., po moim bracie zmarłym w r. 1878., po mojej babce zmarłej w r. 1883., po mojej ciotce zmarłej w r. 1884., po moich siostrach zmarłych w latach 1895 i 1896, wreszcie po mojej matce zmarłej w

roku 1904., — pozostał znaczniejszy majątek. W czasie śmierci ojca, babki, ciotki ~~i ojca~~ byłem małoletnim (dzień mojego urodzenia: 15 sierpnia 1868) a brat mój Teofil Nartowski, notarjusz w Jaśle, opiekunem. Oprócz znikomo małych kwot wydanych na moje utrzymanie i studja na wydziale lekarskim, brat mój mimo moich upomnień ustawicznych, nie złożył mi dotąd obrachunku, wymuszał na mnie podstępnie kontrakta i na swoją własność zajął wioskę dziedziczną Różanka w powiecie strzyżowskim. Gdy dotąd wszelkie z mej strony (przez 32 lat) upomnienia pozostają nie tylko bez odpowiedzi ale wprost chełpi się jeszcze, że ten ma rację, kto ma majątek, gdy nie chce dobrowolnie sprawy załatwić a ja nie chciałbym sprawy przed forum Sądu wytaczać z jednej strony, z drugiej pokrzywdzić moje własne dzieci zaniedbaniem sprawy, upraszam:

Wysoka Izba raczy brata mojego Teofila Nartowskiego, notarjusza w Jaśle wezwać aby sprawę uczciwie i honorowo załatwił. Ja jestem z mej strony gotów poddać się sądowi polubownemu, gdyż postępowanie takie brata mojego uwłacza grubo honorowi stanu notarjusza.

Dr Mieczysław Nartowski.

Izba notarjalna oparta o dowody z aktów sądowych, wyznaczyła mu bezzwłocznie termin do jawienia się przed Sąd honorowy, do którego ściągnione akta, miały zdruzgotać jego honor i jako brata-opiekuna i jako notarjusza.

Tymczasem do Różanki zjechała „ukochana" jego siostra Marja Kudelkowa, z którą miał jechać w rzeszowskie, celem kupienia jej jakiegoś tam pola czy majątku. Ale w wyrokach swoich prawdziwie i nieodwołalnie sprawiedliwy Bóg, inaczej zarządził! To **Clamitat ad coelum vox sanquinis et Sodomorum**

Vox oppressorum, viduae, pretium famulorum.,

sprawdziło się! Bóg odwrócił się od niego! Bez wynagrodzenia

krzywdy rodzinie, bez pojednania się tutaj z Bogiem, tak jak mu to (str. 59 i 64) przepowiedziałem, dnia 28 czerwca 1920 roku po wyprawieniu żony do Jasła, ... zmarł. Ani siostra jego „ukochana“ Marynia, ani żona, matka zabójcy mojego Jasia, nie zawiadomiły mnie o jego śmierci. *Sapienti sat!*

Oczy nie zamkła mu kochana żona, bo takiej nigdy nie miał i kochać nie umiał. Przy gasnącym stał nowy dziedzic Różanki i ta siostra Marynia, co gdyby kiedykolwiek była dobrą córką czy siostrą, byłaby wpłynęła na jego czyny i życie a nie chwaliła to jeszcze, co ani jemu ani jej błogosławieństwa i pożytku dać nigdy nie może. A jako matka zrobić to powinna była! Jako najstarsza siostra, nie powinna była dopuścić do krzywdy młodszego rodzeństwa a dopuściła za krótko trwałą zresztą nadzieję i tylko nadzieję dziedzictwa po nim czy większej od reszty swego rodzeństwa otrzymania cząstki.

Zgasło życie i uleciał duch tego, co był przez szereg lat tyranem młodszego rodzeństwa. Nie padły na trumnę łzy bólu, bo z łez może mieć ten tylko żniwo, kto miłością sieje.

Wola jego ostatnia, testament:

Rozporządzenie ostatniej woli. — Dziedzicami moimi ustanawiam synów moich Józefa i Michała Trzaska-Nartowskich po połowie. Majętność tabularna „Nartów“ w Różance z jej przynależytościami, z inwentarzem żywym i martwym jak ona stoi i leży, obejmie syn mój Józef. Realność w Wadowicach, oraz kaucję notarjalną otrzyma syn mój Michał. Córki Aniela i Stanisława otrzymają wypłat części spadkowej a to: z rąk syna Józefa po dziesięć tysięcy Koron płatne w dniu ich pełnoletności a oprocentowane od dnia wcześniejszego ich zamążpójścia i wszystkie moje wierzytelności kancelaryjne. Dla tychże dzieci ustanawiam wzajemne podstawienie t. j. na wypadek bezdzietnej przed trzy-

dziestym rokiem życia śmierci Józefa w jego prawa wchodzi jego brat Michał względnie siostra Aniela ewentualnie Stanisława.

W prawa Michała na wypadek jego bezdzietnej śmierci przed trzydziestym rokiem życia wchodzi jego siostra Aniela a w braku tejże Stanisława.

Na wypadek takiejże śmierci w powyższym czasie Anieli wchodzi w jej prawa Stanisława tak, że otrzyma ona całe dwadzieścia tysięcy Koron.

Gdyby zaś wszystkie te dzieci pomarły bezdzietnie, to majątek mój przejdzie na siostrę Marję a gdyby jej nie stało na jej córki Stefanię i Helenę po połowie względnie na jedną z nich, gdyby druga przy życiu nie pozostała.

Całe to podstawienie należy rozumieć w ten spozób, że w miejsce zmarłego wchodzą jego ślubne dzieci, gdyby w tym czasie żyły.

Majątek cały aż do fizycznej pełnoletności najmłodszego ma być wspólnie zarządzany i na wspólne potrzeby obracany dzieci wszystkich.

Od zarządu majątkiem tym wykluczam matkę tych dzieci bezwarunkowo, co nie przeszkadza jej mieszkania w Różance z dziećmi. Na współopiekuna dla dzieci mych upraszam szwagra mego Henryka Kudelkę i ten współopiekun jak i każdy inny ma głos decydujący co do zarządu majątkiem i wykształcenia dzieci. W każdej ważnej sprawie co do majątku i dzieci ma być przesłuchana moja siostra Marja względnie gdyby jej nie stało jej córki z głosem decydującym. Od opieki i zarządu majątkiem wykluczam rodzinę pozostałej wdowy. Pozostała wdowa nie ma prawa do żadnej części mego majątku nawet na dożywocie, gdyż przez kupno dla niej realności w Wadowi-

cach i uporządkowanie jej otrzymała dostateczne wyposażenie z mojego majątku.

Grunt nabyty od Konstantego Wójcika w Różance ma służyć na kaplicę z prawem odprawiania w niej mszy świętej a fundusz na jej wybudowanie i utrzymanie ma stanowić realność moja w Frysztaku a w tym kierunku życzenia moje i postanowienia będą osobno spisane. Dziedzic Różanki ma się tem zajmować i składać rachunki rz. kat. proboszczowi w Niewodnej a nadwyżka dochodów u dziedzica pozostanie.

Hanusia Smaś ma mieć dożywotnie utrzymanie przy moich dzieciach dopóki zechce być przy nich pod dotychczasowymi warunkami.

Służba moja jeżeli po mojej śmierci pozostanie jeszcze przez rok administracyjny dłużej otrzyma legat w wysokości rocznej pensji t. j. pobieranej zasługi. Dzieci moje proszę o wzajemną zgodę i pomaganie sobie wzajemne i błogosławię im szczęścia a żądam od nich uczciwego życia. Taka jest ostatnia moja wola. — — — —

— — — Teofil Trzaska Nartowski —

Z gotówki względnie z książeczek Kasy Oszczędności i innych mają być pokryte moje długi krótkoterminowe i pożyczki z Wojennego Zakładu Kredytowego, reszta jaka pozostanie przypadnie córkom po połowie. Losy i wygrane z nich przypadną dzieciom w równych częściach. — —

— — Teofil Nartowski. —

jest kluczem do rozwiązania zagadki całego jego życia i dowodem przedwcześnie stwardniałych tętnic jego mózgu, s k o r o w nim tyle nienawiści publicznie obwieszczonej do . . . w ł a s n e j ż o n y! Lata całe krzywdząc własne rodzeństwo, specjalista w krzywdzeniu małoletnich, czy mógł nie pokrzywdzić swe własne

dzieci? wykazuje to własną jego ręką napisany testament bez daty, testament . . . notarjusza! Wszak nim oszukuje własnego syna Michała, bo zapisuje mu realność, którą kilka lat przed śmiercią sprzedał; buduje kaplicę w Różance za pieniądze, które mają być uzyskane ze sprzedaży realności we Frysztaku, realności, którą dawno już sprzedał! oszukuje więc nawet Boga!

Dwom córkom zapisuje jako spłatę z Różanki i to po dwudziestu gdzieś latach po 10.000 Koron! A zatem mniej nawet od zapisu dla wiejskiego matołka-dziewki Hanusi Smaś, która jako wychowawczyni córek otrzymuje . . . dożywocie! To robi jako ojciec! A jako mąż? Matołka-dziewkę stawia wyżej od żony, którą usuwa od jej dzieci i „ich“ majątku!

I czyż nie słusznie ś. p. X. St. Stojałowski nazwał go przed 30-tu coś laty w „Wieńcu i Pszczółce“ krzywdzicielem małoletnich, dzieci?

„Ukochanej“ Maryni czy jej dobrze podstarzałym córkom rzuca nadzieję dziedzictwa po śmierci swych dzieci a zamilcza o jej synie a swoim chrzestniaku Włodzimierzu, bo go oboje nienawidzą choć prawy, że się ożenił z ubogą panienką.

Nie uszanował woli rodziców, prawo nad wolą jego przechodzi (Sąd okr. w Jaśle. L. cz. 11/20) do porządku dziennego, bo prawa matki, żony i dzieci są wyższe od złośliwości ludzkiej czy jej celowych poczynań!

Wszystko co mu powiedziałem przed laty, sprawdziło się.

Główny wyznaczony testamentem opiekun, „ukochany Henryk Kudelka“ zostaje ręką bożą . . . usunięty, bo już 31 października 1920 roku umiera! „Ukochana siostra Marynia“, ta ubóstwiana przez niego istota zaprzepaszcza majątek, sobie czy tam jakiemuś swemu pokoleniu przekazany, bo odsuwa się z godnymi sobie „córeczkami“ od jego zarządu i opieki i zostawia sieroty po tym, któremu do krzywdy rodzeństwa pomogła pod

opieką tej, którą odsu wał od opieki, bo na nią życiem swoim ani cnotą matki nie załugiwała. „Ukochana“ więc siostra Marynia zapłaciła mu czarną niewdzięcznością za cały szereg lat nie małych dobrodziejstw! A jakże straszną okazała się w ten dzień jego niespodziewanej, więc zagadkowej, przez lekarza nie stwierdzonej, po wysłaniu od siebie żony, przed rodzonym bratem-lekarzem tajonej — śmierci!

Nieuszanowana ostatnia wola ojca i sióstr i matki krzywda, były mu przekleństwem z poza grobu na całe życie a w chwili konania, największym wyrzutem sumienia. Nie dopuścił go Bóg przed sąd sprawiedliwości ludzkiej, bo krzywda jego tutaj wyrządzana, była za wielką na sąd ludzki!

A skoro tak, nie tylko ugiąć czoła należy przed Jego zawsze sprawiedliwym sądem ale Go nawet prosić, by go łaskawie sądził i nie patrzył na naskładane u stóp Swego Tronu i sióstr i matki i ciotki i moje bóle i krzywdy i by nie dopuścił, by w ślady ojcowskie wkroczyły pozostałe dzieci, by ich nie karał za winy ojca w wydartej mi ojcowiźnie. Ja i tak mam dosyć przy bożej łasce pracą życia całego zdobytych chojnych darów.

Różankę omijać jednak trzeba, bo tam wylęgła się zbrodnia, krwawiąca me serce ciągle, wbijająca z dniem każdym głębiej swe ciernie we mnie i dzieci moje drogie, bo tam zmarł człowiek bez Boga i wiary, bo gdyby jej miał bodaj kruszynkę, bodaj co iskra pod popiołem, jeszcze mógłby się w nim ogień święty rozniecić i jeszcze wobec majestatu śmierci mógł nagrodzić krzywdy i nie przekazywać swoim dzieciom grosza cudzego, nieprawej grabieży, by z nią nie spłynęło przekleństwo, kara za grzechy ojcowskie!

O! mizerne to życie ludzkie! Warto to żyć do tej chwili, która tak długą się wydaje gdy ją przebolewamy, a tak małą, gdyśmy u kresu! Po cóż się zdaje często tyle zabiegów, krzywd,

trudu, pracy, bezwstydu, ofiary, żeby niemi okupić sobie może zgryzoty na śmiertelnem łożu!

Nie doczekał wyroku srpawiedliwości ludzkiej i na pasierba swojego Antoniego Świdowskiego, który od miejsca zbrodni uciekał niby na front, w rzeczywistości zacierał za sobą ślady i mylił władze wojskowe. Dobrze widocznie był pouczony, co i jak ma robić po dokonaniu zbrodni.

In mora szukał zapomnienia, pod płaszczykiem frontu bezkarności! Nie udało się! Nie zawsze *inter arma silent leges!*

Złamany, półtora roku od śmierci Jasia czekałem na wymiar sprawiedliwości w tem przekonaniu, że nawet zbolałemu i zrozpaczonemu ojcu, nie wolno ani na chwilę poddać w wątpliwość opieszałość, tem więcej bezstronność Sądu wojskowego, — raczej choć z bólem ale spokojnie wyczekiwać rozpatrzenia jego śmierci, życia i motywów Antoniego Świdowskiego i . . . . w y r o k u. Z a w i o d ł e m się bardzo! Po miesiącach czekania przy ciągłych naigrawaniach się jeszcze rodziny zabójcy z moich pretensji majątkowych*), rozkrwawiania, rozszarpywania serca moje-

---

*). Oto np. kartka korespondencyjna, przysłana mi: „Kochany Mieciu! Czego ze „względu na moją skromność trudno mi słowami wypowiedzieć to daruj ale muszę ci „pisemnie donieść, Ty masz pretensye do jednej wsi a ja do drugiej to gdy się pobierzemy to żyć będziemy tymi pretensjami a zrób tak abym na twoje imieniny mogła „powiedzieć i pisać twoja Jula". Jestto przytyk do siostry ś. p. Józefa Gronieckiego, kobiety pod każdym względem na miejscu i wzorowej matki, która chciała, aby majątek rodzinny był sprawiedliwie podzielonym, nie z krzywdą rodzeństwa i nie mogła uwierzyć temu, by jej ś. p. matka († 2. 1. 1868) mogła pominąć siedmioro dzieci i oddać majątek swemu mężowi do dowolnego nim rozporządzenia, by ojciec mógł pokrzywdzić własne dzieci.

go po śmierci drogiego Jasia, mimo całego szeregu pisemnych wniosków i urgensów moich, Sądy nawet nie przesłuchały winowajcy, nie mówiąc już o jego uwięzieniu; wnioskowi zaś mojemu, aby sprawę tą rozpatrzył Sąd Wojskowy D. O. G. w Krakowie, jako Sąd miejsca popełnienia zbrodni, oraz Sąd miejsca zamieszkania wszystkich znawców i świadków, odmówiono, uznając (N. S. W. Nr. 157/21 z 29/4. 1921) za właściwy jedynie tylko . . . Sąd polowy!!!

W rezultacie przesłuchano jedynie mnie dnia 27 lutego 1920 roku a więc po 53 dniach*), nie przesłuchano zaś decydujących świadków i znawców ani samego mordercy, dając mu w ten sposób dość chyba czasu do ucieczki czy przygotowania zupełnej bezkarności, bo nie przebywał nawet na froncie ale swobodnie i wyzywająco paradował w krwią syna mojego splamionym mundurze po Jaśle!

Gdy wszelkie moje usiłowania poskromienia tej bezczelności Antoniego Świdowskiego okazały się bezskuteczne a wojskowe Sądy nie skore do rozpatrzenia jego zbrodni; przedstawiłem ją przed oblicze całego państwa a zażalenie na lekkomyślną bezczynność władz wojskowych, osobiście wręczyłem Naczelnikowi państwa Józefowi Piłsudskiemu. Stał wtenczas u szczytu już swej władzy. Choć błotem obrzucany przez niechętny mu odłam narodowych warchołów, co nie patrzą **co**, ale **kto** robi, to przyjdzie czas, gdy go już nie stanie, gdy lat wiele upłynie a naszej Ojczyzny drogiej zmartwychwstanie otoczy legenda, nabierze siły ten piękny wiersz G. T. Hennera:

Gdy potop zda się parł w nasze odźwierze,
swoją czerwoną i niszczącą falą,
gdy dzielni giną a słabi się żalą,
Tyś milczał Wielki Wodzu w Belwederze.

---

*). Antoni Świdowski. Zbrodnia nieukarana. Część pierwsza. Kraków 1921.

Nad niskich zwątpień uniesion Gehenną
wiodąc walczących następował szeregi
w okopach twarde odprawiał noclegi
albo nad białą mgłą — noce bezsenne.
A gdy śpiewano nam „Requiem" z Zachodu,
gdy w chmurach słońce bladło nam i gasło,
żelaznych brygad znów podałeś hasło
Ojciec Ojczyzny i Ojciec Narodu.

Więc wrogi pierzchły z przedpola Warszawy
w swoje posępne, ociekłe krwią [illegible],
a na ich karkach orłów rycerze
strojący miecze w nowy wawrzyn Sławy!
O Tobie marzy śni żołnierz strudzony,
dziwy o Tobie nasza Wisła szemrze,
o Tobie noc w księżycowym srebrze
posmutnie rodzą naszych drzew korony.

A jeśli wreszcie minie trud żołnierski,
gdy staniemy wolni wśród dziejów zamieci,
to matki polskie będą uczyć dzieci,
jak szedł na boje Naczelnik Piłsudski.
Wkoło postaci Twojej mit się przędzie,
iż będziesz kiedyś jako sen daleki
i sercem Ludu zawładniesz przez wieki
w największej chwale Rycerza w Legendzie!

bo my umiemy podnosić i oceniać t y l k o umarłych a żywych poniżać i potępiać!

U szczytu stał władzy! Otoczony miłością tysięcy w polskich mundurach żołnierzy, choć widział śmierci wiele, na żal mój nie został obojętnym. Rozkazał n a t y c h m i a s t odszukać zabójcę, przykładnie ukarać, winnych lekkomyślnego zaniedbania w ściganiu go, pociągnąć do odpowiedzialności.

Cóż jednak może najpotężniejszy nawet władca, gdy brak poczucia obowiązków u podwładnych, wygodne a skarbem pań-

stwa opłacane próżniactwo, brak poczucia obowiązków obywatelskich u dołu, gdy nie ma komu rozkazów wypełniać?!

Sprawie zabójstwa zwłoką „skręcano kark“ tak, jak to matka Antoniego Świdowskiego Franciszka z Banasiów 1-mo voto Świdowska, 2-do voto Nartowska, żona Teofila Juljana, notarjusza i właściciela dóbr Różanka, już zapowiadała bratowej Zofji Gronieckiej i jej synowi Adamowi słowami: *Za dużo mamy pieniędzy aby Tolek siedział a doktora* [mnie] *zamknę do warjatów!* Słowa te, powtórzone mi przez Adasia Gronieckiego w Błaszkowej dnia 23 lipca 1920 roku, otwarły mi oczy i wykazały taką bezczelność, na jaką tylko matka zabójcy, kobieta nieetyczna i upadła zdobyć się może a powiedzieć bezkarnie tylko do osoby fałszywej i obłudnej!

Liczono na zapomnienie Naczelnika państwa, zajętego sprawami organizacji armji i budującego dopiero karność i sprawność władz, do poszczególnych czynności w życiu obywatelskim wyznaczonych. Ale że *gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo,* urgensa moje i wreszcie przedstawienie moderstwa Antoniego Świdowskiego przed społeczeństwem, list otwarty do Wysokiego Sejmu w Warszawie, w którem 16/6 1921 zapytałem:

Czyż naprawdę żyjemy w państwie, w którem niedołęstwo władz czy pieniądz deptają prawo a ochraniają zbrodniarza?!, wreszcie memorjał do Ministra wojny generała Sosnkowskiego i interpelacja w Sejmie posła Adama Krężla i tow. z P. S. L. zmusiły władze wojkowe do wydelegowania do Krakowa w dniu 16 lipca 1921 majora Grabowieckiego celem rozpatrzenia sprawy a Ministra wojny Sosnkowskiego do energicznego pisma do Sądu wojskowego w Krakowie, w którem powiada:

. . . . *Dr Nartowski obok pisma do Min. wystąpił z prośbą i do Naczelnika państwa.* **Tym skargom nie mogę odmó-**

wić słuszności, nie wytrzymuje bowiem krytyki, że sprawa zawisła od 5/1 1920 wcale naprzód nie postąpiła *i każdy referent starał się jej pozbyć, odstępując innemu Sądowi. Sąd krakowski nie zadał nawet trudu przesłuchania rannego, ani nie zarządził obdukcji zwłok. Żaden z referentów nie zadał sobie tyle trudu, aby stwiedził przydział obwinionego, chociażby w najprostszy sposób.* **Akt ten jest smutnym świadectwem bezczynności odnośnych referentów, nadzoru przełożonych,** *względnie braku zainteresowania się sprawą przez odnośnych Prokuratorów sądowych. Naczelny wódz delegował Sąd polowy Naczelnego dowództwa w Warszawie . . . po ukończeniu przedłożyć akta* **w celu postępowania dyscyplinarnego przeciw tym oficerom,** *którzy dopuścili się tej karygodnej zwłoki . . .*

Dopiero to wystąpienie Ministra wojny na skutek moich energicznych a ojca rozranianego serca prowokacyjnem zachowaniem się mordercy i jego matki kierowanych kroków, sprawiło, że sprawa wyszła z pod płaszcza frontu, że r u n ę ł o mniemanie że: *inter arma silent leges.*

Wzbudziłem prawo! Sąd wojskowy musiał sprawę morderstwa wydobyć z aktów . . . pyłem . . . zapomnienia ! ? ! . . . . pokrytych. Sprawiedliwość i władze śledcze skompromitował major Grabowiecki, który przysłany do Krakowa z Warszawy, jakby na kpiny **ż ą d a ł** odemnie adresu mordercy i tak się arogancko przy przesłuchiwaniu mnie i świadka p. Michalskiej zachowywał, że z oburzenia zasłabłem. Nie mówił, nie pytał, nie rozmawiał ale . . . **wrzeszczał!** Zniosłem i to.

Na dzień 14 października 1921-go roku wyznaczono rozprawę w Sądzie wojskowym O. Generalnego w Krakowie przy ulicy Montellupich.

Siedziałem z dziećmi, z córką, synem i p. Michalską na ławie w korytarzu. Zjawił się morderca, ubrany jak na wesele lub

na ucztę wspaniałą, dumnie, niemal tryumfująco przechadzał się po korytarzu, wyzywająco i szydersko patrzył na nas tym podłym wzrokiem, co mówił: *Zrobiłem! Jestem zadowolony! Kieszeń moja pełna!* A tak zachować się wobec ojca zamordowanego przez siebie syna może tylko zatwardziały zbrodniarz, co zbrodnię dobrze przemyśli! I tego „fircyka wystrojonego“ o najordynarniejszych, zbrodniczych rysach twarzy, przesłuchuje sąd osobno a i nie odczytuje jego zeznań, przesłuchuje go z wolnej stopy, mimo że major Grabowiecki przyrzekał po odszukaniu go „na froncie“ aresztowanie i odstawienie przed sąd w . . . kajdankach!

Matka Antoniego Świdowskiego przesłuchiwana przez majora Grabowieckiego w Jaśle dnia 20 lipca 1921., podpisała protokół pełen fałszu i sprzeczności, pełen obrony synalka!

— . . . . . *Gdy ziemia poszła w górę, Dr Nartowski miał ciągle pretensje do mego męża i robił mu ciągle wyrzuty z tego powodu* — kłamie w protokole — . . . *syn mój o tych nieporozumieniach nic nie wiedział! . . . mąż nie mógł pojechać z powodu wady sercowej! . . . ja chciałam pojechać ale nie mogłam ponieważ pamiętam dokładnie że ruch kolejowy jakoś w tym czasie z niepamiętnych mi powodów był wstrzymany . .* I tak jedno papamieta, drugie nie pamięta, wie że syn jej o nieporozumieniach nic nie wiedział! Tacz to jest już szczyt bezczelnego i bezkarnego kłamstwa!

A synalek Antoni Świdowski? Przyłapany wreszcie, dnia 6/8. 1921 twierdzi i jak najbezczelniej do protokołu zeznaje, że Jaś mój stał a on siedział na otomanie!! Bezczelny fałsz wykazuje orzeczenie znawcy prof. Dra Wacholca, wydane na podstawie klinicznego opisu rany i przebiegu w niej kuli.

W liście do płka Harasymowicza, przewodniczącego trybunału, pisze matka mordercy dnia 11/10. 1921., a więc tuż przed rozprawą: . . . *Dr Nartowski ściągał (!!!) mi syna a teraz oczer-*

nia aby mu przyszłość zagrodzić. Dr Narłowski kłamie (co?) *i znęca się nademną . . . ! ! !* Więc jego, Antoniego Świdowskiego ja potrzebuję oczerniać!?! ja jemu zagradzać przyszłość!?!

Oczernił się sam, przyszłość również zagrodził sobie sam, bo m u s i mu być ciężko ze wspomnieniem tej gorzkiej i ciężkiej chwili, której z życia wymazać nie zdoła.

Wejdzie mu ona w oczy wszędzie i zawsze, budzić go musi ze snu, dręczyć w domu; jak zły sługa zdradzać za domem; jak fałszywy przyjaciel zachodzić drogę w lesie, jak zbójca; w kościele nawet stanie przy nim jak s z a t a n kuszący i odpędzający modlitwę. A każdy, kto jest takim nędzarzem, starać się musi jak najczęściej być bydlęciem, aby nie cierpiał jak potępieniec!

Dla jego matki śmierć mojego drogiego Jasia t y l k o oczernianiem, znęcaniem, nic więcej! Niech giną wszyscy, byle jej ukochany „Toleczek“ żył i bawił się życiem ludzkiem! J e m u to wolno! Kto to podniesie, ten . . . znęca się!!! . . . oczernia!!!

Ależ kobieto, jeżli cię tak jeszcze nazwać można, wszak urosła mogiła z ręki twą piersią wychodowanego syna! A ty tak śmiesz jeszcze mówić!?! Do przewodniczącego trybunału ośmielasz się l i s t napisać, w nim najbezczelniej kłamać a na obronę synalka twierdzić, że ja go ś c i ą g a ł do swego domu!!! Więc ja go ściągał do siebie

by mi syna zamordował?!!

by mnie z dziećmi kradzionym prochem w powietrze wysadził?!!

Jak takie twierdzenie nazwać, jak ciebie matkę nazwać . . . . . nie wiem! Jak wilka z lasu, wyciągłaś mój honor i honor zamordowanego syna i honor ojca do walki! I przegrać wobec całego już świata musisz! wobec każdego ojca!

Więc któż to? czy ja? czy nie ty adresowałaś listy do niego i nie ty posełałaś mu paczki z łakociami pod mojego domu ad-

resem, by miał powód do załgiwania się do mojego domu, by mógł chełpić się dostatkiem z mojej ojcowizny, by chleb mu aż pleśniał nie tknięty przez niego wtenczas, gdyśmy go całe tygodnie w ustach nie mieli! Wiedziałaś że go moje dzieci nienawidzą, że go nienawidzili nauczyciele, że go nienawidzi każdy, kto go pozna, że nienawidziłem go jako ojciec, którego syna w lipcu 1911 roku chciał zadusić, który kolegę swego postrzelił, który nakradzionym prochem o mało swego brata o ślepotę nie przyprawił! Wszak mogłaś do niego pisać, paczki z przysmakami posełać pod jego własnym adresem przy ul. Rakowickiej!

Czemu tego nie napisałaś, lecz fałsz? A może twój syn nie zabił Jasia?! Kobieto! stopy twe lizał będę, róże słał pod nogi, oddaj mi tylko to moje szczęście, to moje lube dziecko, którego mogiła przekreśliła pracę mojego życia, zrobiła mnie starcem i woła: Tatusiu! chodź do swojego Jasia, chodź do drogiej mamusi! do Adasia! Lecz że tego nie potrafisz, więc było morderstwo!

Morderstwo? może tylko wypadek? Ależ „Toleczek“ to był człowiek wojskowy, podporucznik artylerji, ostrzeżony, nawet przezemnie złajany! Więc tylko działanie z rozmysłem! Dowodem ani jedno słowo od matki, ojczyma, by ranę umniejszyć, krwią z niej broczącą nie bryzgać! Nie żal i pokora ale oszczerstwo, duma, rozdrażnianie, ucieczka, . . . grożenie!!! Więc morderstwo? Tak!!! Ono jest zawsze owocem całego szeregu zbiegających się okoliczności, śmierć ich skutkiem, bo *czyn człowieka nigdy nie działa sam dla siebie*. Świdowski działał — powiedziałem w Sądzie — tak, że działanie jego nadało okolicznościom tym kierunek, który był decydującym ze względu na następujący skutek, — zachodzi więc najzupełniejszy związek między rozmyślnem działaniem Świdowskiepo a śmiercią mojego Jasia, jest więc i podstawa do przyjęcia nienawiści lub okoliczności dającej motyw do rozmyślnego działania. Fałsz w zezna-

niu protokularnem matki Sąd n i e stwierdził i n i e wziął go pod uwagę tak, jak i aktów całego śledztwa majora Grabowieckiego; fałsz w zeznaniu mordercy Świdowskiego wykryło i zdruzgotało go zeznanie znawcy-lekarza prof. Dra Wacholca, które powiada: **jest ścisły związek z strzałem a śmiercią, strzał od osoby drugiej; lokalizacja kuli dowodzi, że strzał n i e był zadany ręką własną, że strzelał stojący do siedzącego i uchylającego się.**

Mnie głos odbierano, n i e rozważano zagadkowej sprawy woreczka wojskowego z skradzionym prochem czy ekrazytem a w pokoju mojego syna przechowywanym przez Świdowskiego, który przez cały czas rozprawy stał dumnie i bezczelnie wyzywająco, pewny jeźli nie pochwały jeszcze, to zwycięstwa i wolności, gdy usłyszał z ust swojego d o b r z e zapłaconego obrońcy-adwokata, że **jest . . . chłopcem bez zarzutu**"!

Nakarmiał się moim nieszczęściem, w moim i moich dzieci bólu znajdował szczęście, w łzach moich miłą kąpiel, w mowie prokuratora i pełnem w dobrze zapłaconem przemówieniu obrońcy nietaktownych wycieczek, — nadzieję . . . . wykręcenia się!

Oto „sprawiedliwości" ludzkiej, za życie człowieka:

AKT OSKARŻENIA.

P. 4613/21. — Dsk. 2047/21.

Prokurator przy wojskowym Sądzie Okręgu Generalnego w Krakowie oskarża pozostającego na wolnej stopie

Antoniego Świdowskiego,

podporucznika z 5. p. Legionów w Warszawie o to, że dnia 5 stycznia 1920 roku w Krakowie nie przekonawszy się, czy brauning jest nabity wystrzelił do ś. p. Jana Nartowskiego raniąc go śmiertelnie, skutkiem

których to ran zmarł ś. p. Nartowski w dniu 10 stycznia 1920., przedsięwziął zatem działanie z którego wedle naturalnych dla każdego łatwych do poznania następstw jakoteż wskutek swego zawodu jako oficer łatwo mógł przewidzieć iż śmierć człowieka może nastąpić.

Czyn ten stanowi występek przeciwko bezpieczeństwu życia z §. 335 uk. karygodny wedle przepisu tego paragrafu.

Akt ten „oskarżenia" wykazuje że Antoni Świdowski nie był nawet wcale na froncie ale „cudem" z 5 p. c. a. p. w koszarach im. gen. Böhma w Krakowie, znalazł się w 5 p. Legionów w Warszawie!! Świdowski i . . Legiony!! Ale za to sprawę przekazywano . . . Sądowi w Grodnie, . . . Sądowi pol. 8. Dyw. p., . . . Dow. 19. p. a. p., . . . Sądowi w Wilnie, wreszcie Sądowi w . . . Krakowie!! To są prace Sądów czy sędziów wojskowych!! Wysełano sobie akta i sprawę spychano, chociaż chodziło o życie pporucznika wojsk polskich! To są sędziowie-obywatele w mundurach, więc żołnierze!!! Dość że Świdowski sobie właściwym cudem znalazł się w Legionach choć legionistą nigdy nie był, bo gdy Legiony się krwawiły, on zbijał bąki po Jaśle i pasł się w Różance! Dopiero ojczym na moje i mojego syna drogiego nieszczęście, wyprawił go do . . . Krakowa!

Jak się to więc stało, że znalazł się w Legionach?!

Pan prokurator Hausner w to nie wchodził tak, jak pominął kradzież ekrazytu a zbrodnię oszczerstwa przyrzekał odesłać do sądu . . . honorowego, więc sądu tajemniczego, bo poza pułk — a Bóg wie jaki — niewychodzącego.

Urzędowy ten akt oskarżenia, jest zupełnie odmiennym od wygłoszonego na rozprawie, obdziera ś. p. syna mojego z tytułu porucznika polskich wojsk kolejowych (jakim to prawem?) a

honoruje Świdowskiego, pomijając jego niemiłosierny dla języka poskiego styl, nie opiera się na zeznaniach świadków, nie stwierdza „prawdziwości“ zeznań matki Świdowskiego ani zeznań jego samego ale nimi się kieruje mimo, że fałsz jego zeznań stwierdził znawca sądowy prof. Dr Wacholc. To też treść jej w sądowych aktach taka:

Dsk. 2047/21.

W Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej!

Sąd wojskowy O. Gen. w Krakowie, dnia 14. X. 1921 r. w sprawie karnej przeciw ppr. Antoniemu Świdowskiemu, wyst. z §. 335 uk. pod przewodnictwem ppłk. K. S. Józefa Harasymowicza, przy udziale mj. Rastowskiego, por. Ornsteina, ppor. Sikorskiego i kp. Tylko jako asesorów, w obecności kpt. K. S. Ślizowskiego, jako protokolanta; kpt. K. S. Hausnera jako oskarżyciela, oskarżonego pozostającego na wolności i obrońcy adw. Dra Ostrowskiego, na podstawie aktu oskarżenia prokuratoryi wojsk. w Krakowie, z dnia 19 września 1921 r. L. cz. P. 4615/21 oraz na wniosek oskarżyciela, aby osk: uznać winnym według oskarżenia i stosownie ukarać, wydał następujący

WYROK:

Oskarżony Świdowski Antoni, syn ś. p. Antoniego i Franciszki z Banasiów, ur. 27. X. 1899 r. w Wadowicach, przyn. do Jasła, rel. rz. kat., stanu wolnego, z zawodu student, obecnie ppr. Bateryi zapas 13. p. a. p. w Łucku,

winien jest

że dnia 5 stycznia 1920. w mieszkaniu Dra Mieczys-

ława Nartowskiego w Krakowie, nie przekonawszy się czy brauning jest nabity w ten sposób bronią tą manipulował, że spowodował wyładowanie się brauninga przyczem kula trafiając w szyję obecnego w pokoju Jana Nartowskiego uszkodziła mlecz pacierzowy, skutkiem czego tenże Jan Nartowski zakończył życie dnia 10 stycznia 1920 r. — że zatem przedsięwziął działanie, której już wedle naturalnych dla każdego łatwych do poznania skutków jakoteż wedle swego zawodu jako oficer mógł uważać za zdolne do sprowadzenia niebezpieczeństwa dla życia ludzkiego, a które to działanie w istocie śmierć człowieka spowodowało.

Czynem tym dopuścił się osk. wyst. przeciw bezpieczeństwu życia z §. 599 austr. wojsk. uk. i skazuje się go za to po myśli tegoż §. przy zast. §. 94 i 57 austr. uk. na karę ścisłego aresztu profesowego przez przeciąg ośmiu (8) miesięcy zaostrzonego odosobnieniem przez pierwsze i ostatnie dwa tygodnie kary. Połowę powyższej kary darowuje się jednak osk. na zasadzie art. 5. c. ust. amnest. z 24 V. 1921. Wyrok prawomocny z d. 14. X. 1921.

Dziwna prawomocność ze zwolnieniem od natychmiastowego odsiadywania kary w więzieniu! dziwne to zezwolenie na wybranie sobie na kryminał zbytecznego, dowolnego czasu! To była kara za życie porucznika wojsk polskich, mojego drogiego syna! Że za kradzież się ostrzej karze, to ją przemilczano!!! Do tego „łaska“ amnestji!!! Amnestja! W krótkim stosonkowo

bo zaledwie pięcioletnim okresie istnienia wskrzeszonego państwa, mieliśmy już 4 amnestje za czyny karygodne, zagrożone poważnemi karami. Amnestje weszły więc niemal w modę jako podarunek dla zbójów, morderców, złodzieji, bandytów i koniokradów! Skorzystał z niej i Antoni Świdowski. A przecież z tą pobłażliwością czy manią amnestyjną należy raz wreszcie skończyć, inaczej samo państwo będzie zbrodniarzy ośmielać do popełniania zbrodni. Wszak i Antoni Świdowski „dał się odszukać" dopiero po ogłoszeniu amnestji i liczył na zupełną bezkarność!

Myślał, że mu się uda kiedy już nie „frontem" to amnestją wymknąć! Nadarmo! W myśl że *iustitia* — chociaż spaczona — *nunquam nocet culpuam*, czuwałem dotąd, dopóki w lutym 1922 roku nie znalazł się za kratą przy ul. Montellupich. A że przez przyjęcie amnestji sam zrównał się z bandytami i zbójami —

— nie moja to już sprawa.

Na rozprawę zamówił sobie . . . reportera! *Obstupui tacitus!* Bo: *Risum teneatis, amici?* Słuchajcie! Jak dobrze opłacony adwokat-obrońca na rozprawie chciał ciągłem przekręcaniem nazwiska Świdowski na Świdrowski w akta karne wpakować zamiast Świdowskiego Świdrowskiego, tak pan reporter rozniósł po gazetach rozprawę sądową przeciw . . . Swidrowskiemu! Ale i to zdemaskowałem, bo gazety tą „niewinną" choć słono opłaconą „pomyłkę" musiały sprostować!

Do woru złota przybyła mu mogiła mojego drogiego Jasia.

Czy ona jemu, jego matce-rodzicielce, jego siostrom i braciom z jego rodzonej matki zrodzonym da szczęście na mojej mi wydartej ojcowiźnie? Nie wiem!

Ani zbrodnia, ani oszczerstwo, ani nawet kłamstwo nie wiodą do niego a **matka** Świdowskiego **nie** powinna świadomem kłamstwem kroczyć dalej i 13/3. 1922 pisać: . . . . . *mój drogi zmarły* (ojczym Świdowskiego, † 29/6. 1920) *mozolił się w pocie*

czoła nad utrzymaniem w całości rodzinnego majątku . . . . . i odmawiał sobie wszystkiego aby módz wyżyć — nie miał nikt pretensji — ugodzili się a teraz zdaje się Dr N. że tam miód i mleko płynie . . . .

Kobieto! Nie kłam świadomie i bezczelnie, by tylko „czyścić swego Toleczka i drogiego zmarłego“, bo czyny ich życia co innego mówią a kłamstwo jest jak było i będzie drogą obrony tylko dla zbrodniarzy! Wszak wiesz, że do twojego „drogiego zmarłego“ miałem poważne i uzasadnione pretensje i moralne i materjalne i ustawicznie domagałem się obrachunku lub sądu polubownego i wiesz, że nikt i nigdy z nim w rodzinie się nie ugodził, bo nigdy do tego nie dopuszczał, żył swoją zasadą: „kupić, nie kupić, potargować można“, „pracą w pocie czoła“ ale pracą nie honorową utrzymał majątek rodzinny ale . . . dla siebie! a ciotkę i matkę i siostry odesłał do Boga, z moich pretensji kpił i odsełał mnie do Sądu, którego się nie bał, bo mówił, że ma za dużo pieniędzy, by mógł z niego nie wyjść zwycięsko! A z tobą, z żoną, czy była zgoda?

Ach! skończyć z tem trzeba, kiedy pisać nie wszystko mi można. Posłuchaj tylko, czy tam w mogile „drogiego zmarłego“ na niewodzkim wzgórzu nie wyrzuca mu o j c i e c, brat, dziadek, ciotka i babcia k r z y w d y rodzeństwa i powiedz:

Wieczne odpoczywanie, racz Mu dać Panie!